

wiadomości kościańskie

ISSN 1231-9589

pismo regionalne • cena 5 zł • nr 1-4 (237-240) • styczeń-kwiecień 2012

Zdrowych : Spokojnych
Świąt Wielkanocnych
Czytelnicom : Czytelnicom WK
iency
Zespół Redakcyjny





Nieprzeciętni XXII edycji

Redakcja „Wiadomości Kościańskich” - po raz dwudziesty drugi - przyznała nagrody za wybitne zasługi w dziedziny kultury i życia społeczno - gospodarczego Ziemi Kościańskiej. Statuetkę z brązu, przedstawiającą tytułową stronę „WK” z napisem „Za Nieprzeciętność” otrzymało już kilkadziesiąt znanych i cenionych postaci: literatów, dziennikarzy, działaczy społecznych i samorządowych, regionalistów, miłośników przyrody oraz przedsiębiorców. Wśród wyróżnionych w przeszłości są także obcokrajowcy i przedstawiciele emigracji, związani z Wielkopolską.

A oto laureaci XXII edycji nagród „Wiadomości Kościańskich” za rok 2011:

• **Pan Zdzisław Gidaszewski** - przedsiębiorca, właściciel firmy transportowej Juna - Trans w Starych Oborzyskach z filiami w Bydgoszczy, Gdyni i Pszczynie. Wspiera liczne inicjatywy charytatywne m.in. Fundację „Światło nadziei”, akcję „Podaj cegłę. Budujemy dom”. Wrażliwy na ludzkie nieszczęścia i biedę, m.in. udziela materialnej pomocy powodziarom. Wraz ze współpracownikami opiekuje się dotkniętą powodzią rodziną Czaplów ze Szczerkanowa w gminie Wilków na Lubelszczyźnie. Wyremontował i wyposażył im dom, zaprzyjaźnił się z mieszkańcami wsi. Popiera lokalne inicjatywy społeczne i kulturalne. Przygotowuje paczki świąteczne dla parafian; jest m.in. sponsorem drużyny piłkarskiej LZS Juna - Trans Stare Oborzyska. Panu Gidaszewskiemu przyznano nagrodę „za serce”.

• **Pan Piotr Grygier** - leśnik, urodzony w Czempiniu. Szef Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Poznaniu, wiceprezydent Unii Leśników Europejskich - organizacji, skupiającej stowarzyszenia i związki zawodowe leśników z ponad 20

państw Europy. Bierze udział w pracach międzynarodowych instytucji Forest Europe i FAO/UNECE. Zajmuje się m.in. problemem konfliktów w gospodarce zasobami przyrody, wykładal na Uniwersytecie Przyrodniczym w Poznaniu przedmiot „Dialog i negocjacje w gospodarce leśnej”. Prowadzi także badania nad historią leśnictwa w Wielkopolsce. W ramach edukacji przyrodniczo - leśnej jest inicjatorem corocznej akcji sadzenia drzew i opieki nad drzewami w przedszkolach i szkołach. Wspiera działania na rzecz ochrony i restytucji obiektów zabytkowych. Panu Grygierowi przyznano nagrodę „za troskę o przyrodę”.

• **Pan Jan Kozak** - ekonomista, prezes Kościańskiej Spółdzielni Mieszkaniowej. W spółdzielczości mieszkaniowej przepracował 34 lata, długoletni członek Rady Centralnej Związku Budownictwa Mieszkaniowego. Zabiega o zachowanie i rozwijanie idei spółdzielczej, wspiera badania na temat dziejów spółdzielczości mieszkaniowej na Ziemi Kościańskiej; jest autorem opracowań na ten temat, w tym albumu „Kościańska Spółdzielnia Mieszkaniowa - sto

W numerze m.in.:

Ks. Wojciech Wasiak
przybliży
tajemniczy sens Wielkanocy
(4-6)

Święta w 1950 roku
wspomina
Jerzy Zielonka (6-9)

Fragmenty „Dziennika”
red. Macieja Morawskiego
z Paryża (9-10)

Jeńca obozu w Starobielsku
przedstawia
Katarzyna Żurek (24-26)

Kościańskim Teatrem
Kameralnym
zachwyca się
Tadeusz Hofmański (30-31)

Poezja
Eugeniusza Wachowiaka
z tomiku
„Medalion Studzienny” (37)

O tym
„Jak bezpieka zniszczyła
rektora”
pisze Jerzy Zielonka
(38-40)

„Wiadomości Kościańskie”. Pismo regionalne, ukazuje się od czerwca 1988 roku. Laureat głównej nagrody IV Konkursu Institute for Democracy in Eastern Europe. Wydawca: Przedsiębiorstwo „AGA” w Kościanie. Redaguje zespół: Teresa Masłowska (redaktor prowadzący), Jerzy Wizerkaniuk (red. naczelny), Jolanta Napierała (z-ca red. naczelnego), Alicja Żurek (marketing i kolportaż). Adres redakcji: 64-000 Kościan, ul. Dworcowa 2, tel./fax (0-65) 512-16-15. Druk: Drukarnia Zbigniew Sołtyśiak, ul. Surzyńskiego, Kościan. Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania nadsyłanej korespondencji, nie zwraca materiałów nie zamówionych i nie odpowiada za treść ogłoszeń.

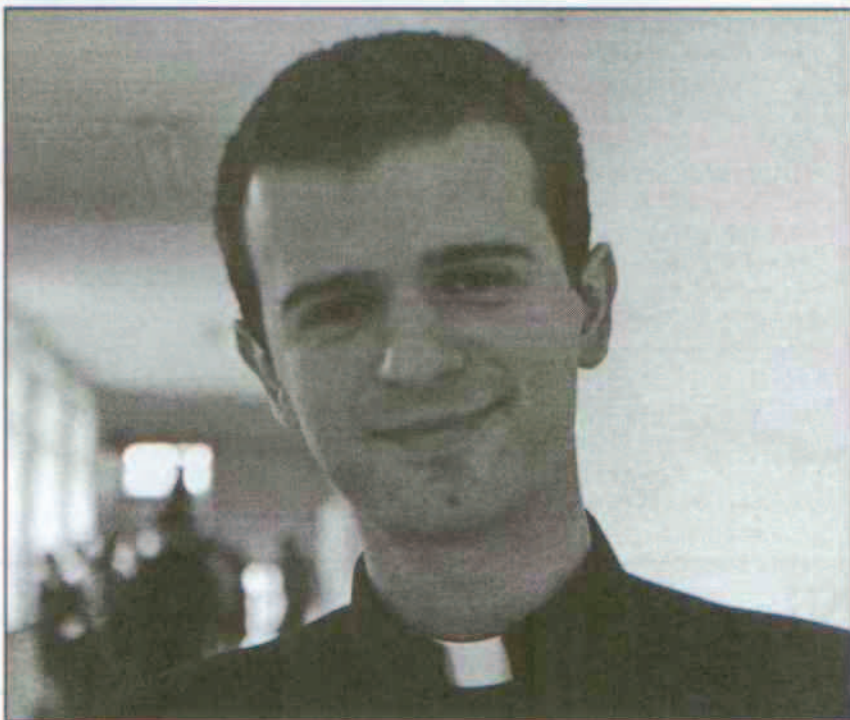
Nieprzeciętni XXII edycji

cd. ze strony 3

lat i jeszcze dłużej". Pracę zawodową łączy z działalnością społeczną. Od 20 lat pełni funkcję przewodniczącego Zarządu Miejskiego Polskiego Komitetu Pomocy Społecznej, działa w zarządzie Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej. Panu Kozakowi przyznano nagrodę „za kultywowanie idei spółdzielczości”.

• **Pan Henryk Mąka** - leśnik, pracownik Stacji Badawczej Polskiego Związku Łowieckiego w Czempiniu. Specjalista w dziedzinie sokolnictwa, członek honorowy Krajowego Klubu Sokolników i Ochrony Ptaków Drapieżnych PZŁ, prowadzi w Czempiniu Ośrodek Rehabilitacji Zwierząt Chronionych. Kultywuje muzykę myśliwską – inicjator Klubu Sygnalistów Myśliwskich PZŁ, kierownik jedyne w kraju Zespołu Francuskiej Muzyki Myśliwskiej „Trompes de Pologne” przy Muzeum Łowiectwa i Jeździectwa w Warszawie, członek i przedstawiciel Międzynarodowej Federacji Trab Francuskich. Lektor Polskiego Związku Łowieckiego z zakresu etyki, tradycji i zwyczajów łowieckich, współorganizator słynnych Mszy Hubertowskich. Panu Mące przyznano nagrodę „za popularyzację tradycji łowieckiej”.

• Ponadto po raz XVIII redakcja przyznała wyróżnienie za działalność samorządową - „Dobry Gospodarz”. Uehonorowana tym zaszczytnym tytułem **pani Dorota Lew-Pilarska** jest burmistrzem miasta i gminy Czempień. Społeczna przewodnicząca Związku Międzygminnego Centrum Zagospodarowania Odpadów SELEKT, który skupia 17 miast i gmin, zamieszkałych przez ok. 250 tys. osób. Działa na rzecz unowocześnienia i racjonalizacji systemu gospodarowania odpadami stałymi. M.in. jej sukcesem jest zlokalizowanie i uruchomienie w 2011 roku w Piotrowie Pierwszym nowoczesnego Zakładu Zagospodarowania Odpadów. Z jej m.in. inicjatywy podjęto opracowanie Lokalnego Programu Rewitalizacji Miasta Czempinia na lata 2011 – 2020. (t.m.)



Ks. Wojciech Wasiak.

Fot. Bogdan Ludowicz

TAJEMNY SENS ŚWIĄT

zestrojony z nieprzeniknionością śmierci

„Jezus przyszedł, aby rozwiązać dwa podstawowe problemy człowieka - zła i śmierci”
A. Camus

Będziemy mówić o tajemnym sensie świąt. To znaczy, że nie będziemy się w ogóle interesować żadną obyczajowością, zwyczajami, tradycjami, choćby najściślej odpowiadającymi istotie wielkanocnych uroczystości. Nie ma dla nas znaczenia sam przebieg najważniejszego czasu w liturgii: Triduum paschalnego z jego różnorodną ornamentyką symboliczną. Pominiemy wszelkie, najbardziej twórcze nawet polskie obrzędy, które mogłyby być przedmiotem niejednego studium. Zamiast tego zajmiemy się kwestią, która może wydawać się tajemniczą - uzasadnieniem teoretycznym

bogatej tradycji Wielkanocy, ugruntowaniem świąt w schemacie myślowym, który oczekuje od chrześcijaństwa nie tylko urządzenia obyczajowej przestrzeni życia, ale także rzetelnej refleksji nad Objawieniem. Potrzeba takiego namysłu jest, moim zdaniem, wielka z wielu powodów. Przede wszystkim ludzie przychodzący do Kościoła nie często zastanawiają się nad treściami wiary. Z reguły jest ona oczywistością dla jej wyznawców, ponieważ w niej wzrastali i ona tworzyła ich światopogląd. O oczywistości najczęściej nie pytamy, a przecież w miarę procesu ich dowodzenia prze-

stają być dla nas jednoznaczne, zaczynają niepokoić, zmuszają do refleksji nad zagadnieniami, które już dawno umieściliśmy poza nawiasem naszego rzeczywistego zainteresowania. Tajemny sens świąt, który ma się przed nami odsłonić, powinien pokazać, jak wiele jest jeszcze przed nami do zrobienia, ile jest pytań, które można zadać, by lepiej zrozumieć Objawienie i wreszcie powinien także wydobyć spod sterty utartych sentencji, powtarzanych sloganów i bezbarwnych komunałów żywością się chrześcijaństwa, którego „młodość” jest pewnym aksjomatem teologicznym - jak to stwierdził W. Hryniewicz, wybitny, polski teolog: jesteśmy cały czas na początku drogi.

Różne znaczenia śmierci

Koncepcje śmierci, jej znaczenia, podstawowe zagadnienia z nią związane mogłyby być dyskutowane w nieskończoność. Nie tym jednak będziemy się zajmować w tym artykule. Śmierć, mimo wielu rozważań na jej temat, pozostaje wydarzeniem niejasnym, skrywającym to, co nieprzezniknione. Ta ciemność, niejednoznaczność, a nawet ambiwalencja śmierci przynależy do jej istoty. Także z tego powodu, człowiek, jako jedyny ze wszystkich stworzeń, może zająć swoje stanowisko w kwestii śmierci, może ustosunkować się do niej, wybiec ku niej albo przed nią uciekać (co dla M. Heideggera i tak jest potwierdzeniem konieczności przyjęcia jakiejś postawy względem niej). Jeśli powyższe jest prawdą, człowiek może również nadawać różne znaczenia śmierci, może ją przeżywać nie tylko w momencie konania, ale także, a być może przede wszystkim, za życia. W naszej egzystencji ujawnia się nasze rozumienie śmierci, która jest ściśle związana z życiem, choć możemy niewiele miejsca poświęcać myśli o dalszej lub bliższej konieczności odchodzenia z tego świata. W rzeczy samej, człowiek niewiele o niej rozmyśla, zamyka na nią oczy; nawet, gdy słyszy doniesienia o zgonach innych osób myśli: „jeszcze nie ja”, „jeszcze nie teraz”. Średniowieczne *memento mori*, które miało w sobie mądrość, często niezrozumiałą dla współczesnych, nie budzi już naszego zainteresowania.

Śmierć, wobec której, *no lens volens*, zawsze jakieś stanowisko zajmujemy, może przyjmować dla nas różne odcienie znaczeń. Sami nadajemy jej znaczenie. Jednakże nie będzie nas interesować szczegółowa analiza interpretacji śmierci, którą dokonujemy mimochodem, nieświadomie, prowadząc zwyczajnie nasze życie. Jest ona nam potrzebna do interpretacji Jezusowej śmierci w ograniczonej mierze. Jezus naturalnie mówił coś o swej śmierci, przepowiadał ją uczniom, objaśniał krzyż. Jednakże ważniejsze jest dla nas, co Chrystus czynił. Jezus umarł i Jego śmierć głoszą chrześcijanie. Czyn Jezusa (ponieważ śmierć jest także czynem człowieka) jest ściśle powiązany z Jego teorią. Z tego powodu zajmujemy się raczej „jawnymi” znaczeniami śmierci w odróżnieniu od opisu stosunku do niej większości ludzi, którzy pragną „uciec” przed śmiercią.

Nie zamierzamy podać wyczerpującej klasyfikacji znaczeń śmierci, a jedynie pokazać te, które będą przydatne do naszego wstępnego założenia: ukazania tajemnego sensu świąt, który z konieczności musi być ukazany w powiązaniu ze śmiercią, skoro przez krzyż dokonano się zbawienie świata. W artykule „Prolegomena chrześcijańskiej filozofii śmierci” ks. J. Tischner prezentuje parę, wybranych znaczeń śmierci, z których zajmujemy się tylko dwoma. Śmierć może przybrać znaczenie heroiczne, które ją sytuuje w kontekście jakiegoś czynu o szczególnym znaczeniu dla ludzkości, narodu, grupy ludzi. Potrzebna w jej przypadku jest jakaś wartość, na przykład wolność narodu, która nada sensowność wielu wysiłkom, wyrzeczeniom, siłom dla niej poświęconym. Nadrzędna wartość nadaje sens wielu działaniom, które bez niej pozostałyby niezrozumiałe. Dzięki niej podziwiamy wspinał się grono polskich żołnierzy, którzy dla wartości wyższych poświęcali życie, wybierali chwalebny śmierć. Ks. Tischner podaje przykład listów członków francuskiego ruchu oporu przed wykonaniem egzekucji: „Donosiłem Wam w poprzednim liście o moim skazaniu. Pomimo wszystko miałem nadzieję, że zostanę ułaskawiony. Teraz nie ma już żadnej nadziei. Chcę umrzeć jako bohater, jako patriota,

żołnierz Francji, która jutro będzie wyzwolona, silna, szczęśliwa”, „wiem także, że zostanie dosyć przyjaciół, aby kontynuować walkę aż do zwycięstwa”.

Drugim wymienionym przez J. Tischnera znaczeniem śmierci jest męczeństwo, które będąc również aktem heroicznym, wykracza poza niego. Męczennik odsłania treść wyznawanej wiary i ją poręcza wobec innych osób. Poręczenie jest bardzo istotne. Kościół w sposób wyróżniony od samego początku czcił męczenników. Antyczny ideał chrześcijańskiego życia w okresie prześladowań w pierwszych wiekach po Chrystusie to śmierć męczeńska. W procesach kanonizacyjnych męczenników do dziś nie jest wymagany cud na potwierdzenie świętości. Ta wyróżniona „pozycja” męczenników zasadza się na pewności, że człowiek, który w ostateczności śmierci przyznaje się do Chrystusa i jest gotów oddać całe życie w sensie najbardziej dosłownym z możliwych, zostanie przez Zbawiciela przyjęty do grona zbawionych. Męczennik jest świadkiem, który ujawnia coś i poręcza. Oprócz powyższych znaczeń śmierci, można by wyliczać następne. Nie jest to jednak nam potrzebne, ponieważ zakres naszych rozważań wyznacza umieranie Jezusa zwanego Chrystusem.

Jezus i Jego umieranie

Pytanie o stosunek Jezusa do swojej śmierci stawia nas w ogniu wciąż aktualnej teologicznej dyskusji. Nie będziemy wchodzić w jej szczegóły. Jezus z pewnością liczył się ze śmiercią. Zapowiadał ją uczniom wielokrotnie, wyczuwając jakąś jej konieczność, podporządkowując się jakiemś wyższemu porządkowi, który zawierał w sobie przymus umierania. Jezus zapowiadał, że Mesjasz musi wcześniej wiele wycierpieć, tłumaczył, że ziarno wpadłszy w ziemię musi wcześniej obumrzeć. Jezus traktuje swoją śmierć jako zbawczą, jest ona integralną częścią planu, który ma On wypełnić. Przeważnie nie przychodzi nam z trudnością ta konstatacja: Jezus umarł dla zbawienia świata, za grzechy

wszystkich ludzi. Swoistość chrześcijaństwa zasada się na tym roszczeniu Jezusa, że dla pełni życia ludzi, ofiarował On swoje życie. Nikt niczego podobnego nie głosił.

Natomiast nie zawsze uświadamiamy sobie, że śmierć Jezusa jest zasadniczo różna od wymienionych znaczeń śmierci. Nie jest ona heroiczna, ponieważ Jezus przypisuje jej również pozytywne znaczenie. W oczach Zbawcy śmierć ma charakter ambiwalentny: jest częścią planu, jest przejściem do osiągnięcia w pełni wartościowego, prawdziwego życia, ale zarazem niesie w sobie negatywną ciemność umierania. W śmierci heroicznej nie ma miejsca na wartość pozytywną - jest ona tragedią, że człowiek podejmujący wspaniały czyn musi oddać życie. Celem jest zwycięstwo, a tragiczną konsekwencją niemożności jego osiągnięcia jest śmierć. Z tego powodu bohater nie musi oddawać życia w sensie, w jakim Jezus „musiał” je oddać. W pierwszym przypadku śmierć nie jest integralną częścią jakiejś większej całości, jest tragedią samą w sobie. Odejście Jezusa z tego świata miało niewątpliwie znamiona męczeństwa, jednakże w swej istocie nie miało być argumentem za czymś, jeśli już to miało nim być zmartwychwstanie.

Wszystkie opisane znaczenia śmierci dokonują się wobec kogoś, jakiegoś mikrospołeczeństwa, jak to ujął ks. J. Tischner. Wszystkie są formą zaprzeczenia śmierci, ponieważ śmierć będąc odejściem jest również pozostaniem: po bohaterze ma pozostać podkreślenie wartości, za którą oddaje się życie, po męczenniku świadectwo dane prawdzie. Sądzę, że Jezus również w pewien sposób zaprzecza śmierci, ukazuje jej ograniczoność, przeciw Jego posłannictwem było przysposobienie człowieka do życia prawdziwego, przerwienie zbawiennej liny ku prawdziwej rzeczywistości, przyszedł On „dać życie światu”; śmierć nie jest już definitywnym końcem. Jednakże różnica polega na godności umierającego. Szczególna wartość zbawcza śmierci Jezusa bierze się z

godności Jego osoby. Skoro przez ludzkie umieranie przeszła wiekiświatłość, nieskończona nadzieja, Bóg-Człowiek, porzucając tradycyjne swoje prerogatywy, śmierć odtąd ma nowe znaczenie dla wszystkich wierzących w tą światłość.

Wedle trafnego aforyzmu G. Mosera: „Jezus nie tłumaczył krzyża, ale go dźwigał”. Znamienne, że Jezus nie stworzył nowej filozofii śmierci, nie objaśniał jej, ale ją przemienił, dokonał zmiany aksjologii umierania. Śmierć jest dla Jezusa wartością. Rozwiązanie problemów ludzkości: zła i śmierci nie dokonało się przez teorię, ale przez czyn. Mówiliśmy o ambiwalencji śmierci. Teologia sama w sobie przeżywa podobną ambiwalencję: jest rozumną refleksją nad czynem, nad historią Jezusa, ale ma prowadzić nade wszystko do postawy życiowej, jest wystosowanym apelem do podjęcia działania, który nie, gdy ono się rozpoczyna, jej głos powinien przechodzić przez szepc do milczenia, gdy w sercu człowieka zaczyna się ziszczać jej przesłanie. Żywotność teologii nie polega na oryginalności teorii w niej zawartych, ale na doświadczeniu Prawdy, które gdy się go zakosztuje odrzuca słowa jak niepotrzebne już szczęble drabiny. Osiągnięcie celu teologii, życia w duchu i w prawdzie, oznacza zniesienie teologii.

Tajemny sens świąt w powiązaniu ze śmiercią wydaje się ponury, nieprzystający do radości Wielkiejnocy. Jednak nie można pisać o niej inaczej, jak w powiązaniu z mrocznością śmierci, przez którą przebijają przecież zwiastuny nadziei. Zmartwychwstanie nie jest prostym faktem, a prowadzi ku niemu wąska ścieżka. Bezpośredniość największej tragedii w Wielki Piątek na krzyżu i chwały Zmartwychwstania jest głęboko frapująca. Oto tajemnica, oto wyzwanie.

ks. WOJCIECH WASIAK

*) Autor tekstu (ur. w 1965 r.) jest kapłanem Diecezji Poznańskiej. W 2011 r. ukończył studia teologiczne na UAM w Poznaniu, wyświęcony w tymże roku. Obecnie jest wikariuszem w Parafii pod wezwaniem Świętego Ducha w Kościanie.

Opowieść

Wielkanocne święta 1950 roku, przypadające na 9 i 10 kwietnia, spędziliśmy dostatnio, niczego nam nie brakowało. Gotowana szynka, biała kielbasa, królik w rosole, żur biały, pieczeń wieprzowa, jajka, babka piaskowa, mazurek z bakaliami, serniki, placek z kruszonką. Ale pośród tych kulinarnych dobroci snuł się lęk; lęk przed przyszłością. A wszystko zaczęło się w 1945 roku.

Szczęśliwe powroty

Wojna dobiegała końca. Szczęściem nie straciliśmy nikogo. Przetrawiliśmy prawie w komplecie; „prawie”, bo z niepokojem oczekiwaliśmy jeszcze powrotów mojego ojca Józefa i brata Kazia - z przymusowych robót oraz przyjaciela rodziny, syna właściciela domu Marianka Koszewskiego - z niemieckiego obozu koncentracyjnego Gusen. 8 marca 1945 roku, w czwartek, w południe, otworzyły się drzwi mieszkania i stanął w nich 20-letni Kazio. Wychudły, zmęczony, blade, brudny, z tobolkiem w ręku. Mama nie mogła wydusić z siebie słowa, on też nie. Stali długo przytuleni i płakali. Od sierpnia 1944 roku kopał rowy przeciwpancerne pod Mławą w miejscowości Cieszki. Gnębiony i poniewierany, zaznał wielu okrucieństw z rąk wachmanów, a później stał się świadkiem ich egzekucji, a właściwie zwykłego morderstwa. Łatwiej mu było wymazać z pamięci doznane udreki, ale obraz grupy niemieckich strażników, czolgających się, łkających, obejmujących za nogi radzieckich żołdatów i błagających o życie trwa w nim do dzisiaj.

4 lipca 1945 roku, w środę rano, wrócił do domu z Gusen Marianek. Miał 22 lata, a ważył 42 kilogramy. W więzieniach gestapo i w obozach przeżył blisko 4 lata. Przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz Pierwsze pytanie, które zadał swojej matce brzmiało: - Gdzie jest Baśka Zielonkówna? To co przeżył opisał po latach w autobiograficznej książce pt. „Pamięć”. Następnego dnia rano zjawił się mój ojciec i pierwszy raz wziął mnie na ręce. Znał dobrze język rosyjski, zabrał się w Wirtembergii z radzieckim eszelonem, dojechał do Żagania i stamtąd idąc dniem i nocą, „po kolanach” - jak mówił - wrócił do domu. Na Poznańskiej nr 84 byliśmy w komplecie.

wielkanocna

Musiałem zacząć od powrotów z wojny, bo dla mojej rodziny rozpoczynał się nowy etap życia. Dla większości Kościanaków – czy się to teraz komu podoba, czy też nie – to było wyzwolenie, wyzwolenie spod okupacji niemieckiej. Można było mówić po polsku i czytać polskie książki, otwarto kościoły i szkoły, jak grzyby po deszczu powstawały polskie organizacje, powracało polskie życie. Tata wierzył, iż będzie mógł rozwinąć skrzydła, a że był przedwojennym kupcem szybko znalazł lukę na lokalnym rynku. Myślał tak: w czasie wojny Polkom i Polakom brakowało ładnej, kolorowej i ciepłej odzieży, po wojnie każdy będzie chciał wydstać się z okupacyjnej szarzyzny, więc...

„Wymiana Welny”

W październiku 1945 roku powstała w Kościanie prywatna firma rodzinna o dumnej nazwie „Wymiana Welny J. Zielonka”. Pomysł był genialnie prosty, na starcie nie wymagający kapitału. Z czasów przedwojennych Tata znał producentów towarów bławatnych i wełnianych w okolicach Łodzi, miał przyjaciół w zakładach włókienniczych i farbiarniach. Pojechał tam i do-

stał - na kredyt – duży transport różnokolorowej włóczki, to znaczy skręconej grubej nici wełnianej w tak zwanych motkach. Wydzierzał - też na kredyt - sklep u znajomego mistrza futrzarskiego Feliksa Makowskiego przy ul. Szczepanowskiego w Kościanie, a w oknie wystawowym ułożył barwne stopy włóczki. Nadchodziła zima i Boże Narodzenie. Panie wtedy potrafiły same udziierać na drutach swetry, pulowery, czapki, szaliki, rękawiczki i co tam jeszcze. Tata na początku nie kasował gotówki. Włóczką – w odpowiedniej relacji – płacił za surowe owcze runo, które oczyszczał, prał, suszył i surowcem takim regulował należności u łódzkich dostawców. Musiał robić to dobrze, bo w połowie 1946 roku wyszedł na swoje, a interes rozwijał się błyskawicznie. Obroty rosły, w ślad za nimi także zyski. W maju 1947 roku przeprowadziliśmy się do domu państwa Sytków przy ul. Świętego Ducha 5. Od właścicieli wydzierżawiliśmy ogród, który w części stał się pralnią i suszarnią owczego runa. Zaczynało się rodzinne dobre życie.

Jeśli mowa o firmie rodzinnej, to Tata zatrudniał dwóch moich braci – Kazia i Józia oraz Mamę, która pilnowała domo-

wego ogniska i dosłownie harowała. Dyspozycyjna o każdej porze dnia i nocy miała zakres obowiązków dzisiaj niewyobrażalny. Dłonie miała szorstkie, czerwone, spracowane. A kiedy już wszyscy posnęli, brała książkę i czytała, czytała, czytała. Jak mało kto znała klasyków polskiej literatury. Wstyd się przyznać, ale „Chłopów” Reymonta znała lepiej niż ja kiedykolwiek. Była wielbicielek marszałka Piłsudskiego, ale się z tym nie obnosiła.

Tata - przeciwnie – lubił się wdawać w polityczne dyskursy. Rozdarty między ruchem narodowym a ludowym, ostatecznie przystał do Mikołajczyka i zapisał się do PSL. Miało to wpływ na dalszy bieg rodzinnych zdarzeń, bo – jak na aktywnego ludowca przystało – kiedy nadchodziły ważne dla Kraju wydarzenia polityczne – wzywano go do UB i zamykano na 24 godziny, aby się opamiętał. W ślad za tym firmę zaczęły odwiedzać kontrole różnej maści – jedna po drugiej. Długo sobie z tym radziliśmy. Od sierpnia 1948 roku zaczęły nadchodzić administracyjne nakazy i wezwania do opła-



Jeszcze w dobrych czasach. Z Tatą i bratem Kazim



Na drugim planie - nasz sklep w 1948 roku

ania coraz to większych podatków. Ojciec kłął w żywe kamienie – „te psiekrwie chcą mnie zniszczyć” – ale płacił. Pod koniec 1949 roku, w ramach walki z sektorem prywatnym, służby skarbowe wyznaczyły firmie domiar, to jest dodatkowy podatek w niewyobrażalnej kwocie. Tata nie odpuszczał, odwoływał się, ale miał świadomość, że to już koniec – zdążył jeszcze dzięki przyjaźniom załatwić państwową pracę Józiovi – w Rejonie Dróg Publicznych, a Kaziowi w straży po-
zamej.

Tatę przymkną...

Nadszedł rok 1950. Najstarsza siostra Czesława („Tośka”) pracowała jako pielęgniarka, średnia Barbara („Baśka”) była maszynistką w Sanatorium dla Nerwowo Chorych, Teresa („Nienia”) – higienistką. Firma rodzinna zamieniła się w jednosobową. Tata miał jeszcze nadzieję. Na Wielkanoc wyznaczono dwa śluby: pierwszy Marianka Koszewskiego z „Baśką”, drugi – Józia z Melanią Kostańską, córką znanego w Kościanie mistrza stolarskiego. Trwały przygotowania. Kończyłem uczęszczanie do ochronki „u Sióstr” i od września miałem pójść do szkoły podstawowej. I wtedy stało się...

Szczęście w nieszczęściu, że mieliśmy wokół siebie przyjaciół. Narzeczonny „Nieni” Józio Salacki, urzędnik w starostwie kościańskim, redaktor wniosków odwoławczych podpisywanych przez ojca, dowiedział się, że sprawę firmy „Wymiana Wełny J. Zielonka” przejęła poznańska Komisja do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospo-

darczym. We wtorek - 21 marca 1950 roku po południu wpadł do nas „na Ducha” z wiadomością, że tylko patrzeć jak z Poznania przyjedzie specjalna kontrola, opieczętuje sklep, przejmie cały majątek, a Tatę – jeśli się będzie opierał - przymkną. W pierwszym odruchu Tata udał się do piwnicy po siekiere, ale dał się uspokoić i zwołał naradę rodzinną. Ustalono na niej, że nie ma co czekać.

Tak rozpoczęła się niezapomniana akcja. Jedni gorączkowo uzupełniali księgi finansowe, inni ruszyli do sklepu i magazynku przy ul. Szczepanowskiego. Przez całą noc zwożono rowerami worki z włóczką, a także bele materiałów na ubrania. Ojciec twierdził, że wełna – jak kto wie jak - zawsze się dobrze pierze, więc zapasy włóczki wepchano do trzech pieców kaflowych. To, co zostało wywieziono na ul. Poznańską do Koszewskich i schowano w komórce przy stolarskim warsztacie. Nad ranem Tata doszedł do wniosku, że komisja nie uwierzy w to, że firma nie miała żadnych zapasów, więc z bólem serca wybrał kilka sztuk materiału i jeden worek

włóczki, które Kaziu odwiózł do sklepu. Patrzyłem na to wszystko i niczego nie rozumiałem, nie zwracano na mnie uwagi.

„Komisja, komisja...”

Zespół Komisji do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym przyjechał z Poznania w czwartek rano – 23 marca 1950 roku. Nie zapomnę tego nazwiska – szefową była pani Tadelis, pokaźnych rozmiarów kobieta, pochodząca spod Łodzi. Po obejrzeniu sklepu, zabranii tego co w nim zostało i po opieczętowaniu lokali zorientowała się, że lup jest nader kiepski i oświadczyła, że udaje się do bezpieki po nakaz rewizji mieszkania. Ojciec protokół podpisał i postawił rodzinę w stan pogotowia. Czekaliśmy. Siostry temperowały Tatę, który znów wybierał się po siekiere, wreszcie po południu zjawiła się w naszym mieszkaniu pani Tadelis w asyście dwóch funkcjonariuszy UB i rozpoczęła przeszukiwanie: szafa po szafie, szopka na podwórzu, piwnica, znów mieszkanie i szafy. O piecach nie pomyśleli. Ojciec - powstrzymywany przez dziewczyny - chodził wściekły z kąta w kąt.



Suszenie runa owczego w 1948 roku. Od lewej: Marianek Koszewski, „Tośka”, Józio Salacki i Melania Kostańska.
Fot. (3x) Ze zbiorów Autora

Siedziałem na wiklinowym foteliku na werandzie i nic nie mówiłem. Jednak ledwie po rewidentach zamknęły się drzwi wygłosiłem mądrość, która wszystkich zmroziła: - Komisja, komisja, ale gdyby oni tę wełnę w piecach znaleźli... - Cicho bądź mały - naskoczyła na mnie „Nienia”. Mogą jeszcze stać za drzwiami... Na szczęście - nie stali.

Kupiec stróżem

Mądry był mój Tata. Miał cztery klasy rosyjskiej szkoły pod zaborem, ale mądrością życiową przerastał wiele kształconych. Był też dzielny i szybko podnosił się po ciosach, których Mu życie nie szczydziło. Święta i wesela za pasem, a tu zaczęto Go wzywać do różnych urzędów. Na kolejnej rodzinnej naradzie ustalono, że w tym nastroju wesela trzeba przenieść na późniejszy termin, a czas świąt wykorzystać - na „uporządkowanie szyków”. Mama zajęła się przygotowaniem potraw. Wszystko robiła sama. Tylko ciasto na serniki i placek nosiliśmy na specjalnych blachach do pobliskiej piekarni pana Mańkowskiego. I co było wyjątkiem od naszej „tradycji”, na wielkocnym stole nie pojawiły się alkohole, bo Mama uznała, że wobec „zyciowego zagrożenia wódki pić nie wolno, bo odbiera rozum i może spowodować dodatkowe kłopoty”. Tata odpowiedział: Masz Stasia rację, te psiekrwie tylko na to czekają...

Ślub cywilny Marianka z „Baśką” odbył się 22 czerwca 1950 roku (kościelny w niedzielę). Jednym ze świadków był Tata - w dokumentach w rubryce „zawód” figuruje jeszcze jako kupiec. Józef i Mela brali ślub 30 sierpnia 1950 roku (kościelny w niedzielę) - świadkiem był też ojciec, który w rubryce zawód kazał wpisać „malorolny”. Do końca roku pozostawał bez pracy, w styczniu 1951 roku, mając 60 lat, dzięki życzliwości ówczesnego kierownika Rejonu Eksploatacji Dróg Publicznych w Kościanie i przyjaciela naszej rodziny - inż. Bronisława Błażewicza otrzymał etat stróża nocnego. Od tego czasu miałem już jedynie słuszne, prawidłowe klasowo pochodzenie.

JERZY ZIELONKA

*) Tekst ten jest fragmentem wspomnień autora, których część pierwszą pt. „Opowieść wigilijna” zamieściliśmy w poprzednim numerze „Wiadomości Kościańskich”.

Dzienniki Macieja Morawskiego (XI)

Nie odtrącał nikogo...

Maciej Morawski, były korespondent paryski Radia Wolna Europa, rodem z Jurkowa, od lat systematycznie pisze dzienniki. Większość zapisków zdeponował w Bibliotece Polskiej w Paryżu. Tradycyjne zeszyty poszły w ką, a Maciej Morawski zamienił pióro na klawiaturę komputera. Poniżej drukujemy jedenasty odcinek wyjątków z dzienników pisanych w 2012 r. Czytać je można w całości na internetowej stronie: www.maciejmorawski.blox.pl

16 stycznia

Rozmówca pyta, dlaczego określam ma rodzinną wieś mianem: Jurkowo 3 Orły Białe. Zaznacza, że o owych 3 Orłach nie ma ani słowa, w dotyczącym Jurkowa (woj. wielkopolskie) rozdziale Wikipedii. W ślad za tym rozmówcą zaglądam do odpowiedniego działu Wikipedii. Znajduję wiadomość: W Jurkowie urodził się Kajetan Dzierzykraj-Morawski, polski dyplomata, polityk, działacz społeczny i publicysta. Minister Spraw Zagranicznych RP. Wolałbym, by ta informacja brzmiała np.: K. D.-M., ur. 19 stycznia 1892 r. w J., dyplomata i pisarz, członek PEN Clubu, Kierownik MSZ w obalonym zamachem majowym Rządzie Witosa, ambasador RP przy Rządzie Generała de Gaulle, ceniony przez tegoż Generała. Później przez ćwierć wieku emigracyjny „ambasador Wolnej Polski w Paryżu” (szczególnie źle widziany i obrzucany kalumniami przez służby PRL, jako jakby ambasador Polski bis), zmarły w Domu Spokojnej Starości w Lailly-en-Val 2 listopada 1973 r. Odznaczony pośmiertnie w r.1996 Orderem Orła Białego. Szczególnie przywiązany do Jurkowa. Na wstępie rozdziału „Wieś i rodzina” swej książki „Tamten brzeg” (nagroda „Wiadomości” Mieczysława Grydzewskiego - Londyn 1960 r.) pisał: „Jestem synem wsi wielkopolskiej. Czuję się z nią związany nie mniej niż z własną rodziną”.

Ale z Jurkowa pochodzą też dwie inne osoby odznaczone Orłem Białym. Profesor Kazimierz Morawski, filolog klasyczny, ur. 29 stycznia 1852 w Jurkowie, zmarły 25 sierpnia 1925 w Krakowie, prezesa PAU (Polska Akademia Umiejętności - dop. TM). 22 Grudnia 1922 kandydat na Prezydenta RP. Odznaczony Orderem Orła Białego w r. 1921. Autor wielu znanych dzieł np. „Zarys literatury rzymskiej...”, „Rzym i narody” itd. Jego córkę Zofię Mo-

rawską (1904 Turew - Laski 2010) słynną opiekunkę niewidomych i współkierowniczkę Zakładu w Laskach odznaczył jako pierwszą Polkę Orderem Orła Białego Lech Wałęsa. Zofia Morawska urodziła się w niedalekiej Turwi, lecz wywodząca się z jurkowskiej linii Morawskich, czuła się z Jurkowem związana.

20 lutego

Na jesień 2013 r. przypadnie 40. rocznica zgonu mego ojca, Kajetana Morawskiego (1892-1973). Być może z tej okazji odbędą się obchody, Msze Święte za spokój jego duszy w Paryżu i w Lailly-en-Val. Nie wątpię też, iż w Kościanie odbędzie się ceremonia w Parku Miejskim Imienia Kajetana Morawskiego. Ten 15-hektarowy park jest w trakcie renowacji, ma tam miejsce utwardzanie alejek parkowych, „spełniających funkcje rekreacyjne, pieszo-rowerowe”. Wybitni naukowcy z Poznańskiego Uniwersytetu Przyrodniczego opracowali projekt rewitalizacji Parku, podszyc parkowy ma być oczyszczony, część drzew zostanie poddana zabiegom pielęgnacyjnym, przewidziano starannie dobrane nowe nasadzenia. Istotne, że park jest elementem korytarza ekologicznego doliny Obry, zdołają go sosny, świerki, klony, dęby „niektóre o pomnikowych rozmiarach”.

Kajetan Morawski przez ćwierć wieku reprezentował we Francji Wolną Polskę (w październiku 1943 r. został ambasadorem przy władzach Wolnej Francji, rezydujących wówczas w Algierze - Rząd RP pierwszy oficjalnie uznał Francuski Komitet Wyzwolenia Narodowego - K. M. był więc wówczas dziekanem korpusu dyplomatycznego; po cofnięciu uznania Rządowi RP

Na Wychodźstwie K. M. do roku 1969 był (jak później pisanano - „legendarnym”) „ambasadorem w Paryżu władz RP w Londynie”). W interesie Polski walczył o „Europę na francuskim sosie”, to znaczy opartą na najpiękniejszych wartościach francuskiej kultury takich, jak poszanowanie wszystkich narodów i tolerancja, kult nauki, literatury, sztuki oraz zabiegał o to, by język francuski był podstawowym językiem instytucji europejskich. Liczę, że w Kościanie w Parku jego imienia znajdują się jakieś typowo francuskie rośliny. W powiecie kościańskim działa wielu zwolenników zbliżenia Polska-Francja, przy kościańskim liceum istnieje klub francuskiej kultury. Gdy idzie o obchody 40. rocznicy zgonu Kajetana Morawskiego, to w Kościanie ich współorganizatorami winni być także miejscowi przyjaciele Francji oraz Zarząd Główny Towarzystwa Przyjaźni Polska-Francja w Warszawie, Prezes Edward Sobczak. Ziemia Kościańska jest tym bardziej powołana do utrzymywania uprzywilejowanych stosunków z Francją, iż z niej wywodzą się także dwie inne postacie historyczne z Francją związane: Generał Dezydery Chłapowski z Turwi, oficer ordynansowy Napoleona, oraz Alfred Chłapowski z Bonikowa, bardzo w Paryżu popularny, najpierw poseł a później ambasador RP we Francji (27.11.1924 - 20.06.1936).

Gdy idzie o obchody we Francji 40. rocznicy zgonu ambasadora Morawskiego, to do tych projektów już przychylnie się odniosła Virydianna z Raczyńskich Reyowa oraz niektóre francuskie osobistości, które go pamiętają. Stawiam też na Marka Szypułskiego oraz na merostwo w Lailly i władze departamentu Loiret. Idzie o wielkiego przyjaciela Francji! Skądinąd wiem, że w obecnym polskim MSZ są ludzie interesujący się epopeją emigracyjnej dyplomacji i także ludzie skłonni umacniać tradycję przyjaźni polsko-francuskiej! Liczę na kapitułę Orderu Orła Białego, na Aleksandra Halla. Chcę także, aby owe obchody uwydatniły jakże przychylny stosunek generała de Gaulle'a do Kajetana Morawskiego, do jego „ambasady Wolnej Polski”. Sprawa z punktu widzenia historycznego istotna. Wszak pewne kręgi absur-

dalnie oskarżały Generała o „popieranie demokracji ludowych”, podczas gdy prowadził on tylko pewną grę i próbował oddziaływać np. na przywódców PZPR, w tym samym czasie okazując aktywną sympatię polskiej emigracji niepodległościowej. I jeszcze jedno. Zastanawiam się, czy do obchodów 40. rocznicy zgonu nie powinno się włączyć Polskie Towarzystwo Ziemiańskie: Ambasador wiele pisał o „wsi i rodzinie”: całe życie „nosił cechy wielkopolskiego ziemianina”.

Do listopada 2013 r. jeszcze dość daleko. Jeśli już teraz poruszam ten temat, to dlatego, że chcę przypomnieć o nim i podkreślić, że do dziś nie jest opracowane jego archiwum (20 lat ambasady Wolnej Polski), złożone w Bibliotece Polskiej w Paryżu, archiwum do którego dużą wagę przywiązywał Jerzy Giedroyc uważając je za pendant archiwów „Kultury”. W Internecie znalazłem świetny artykuł Krzysztofa Rutkowskiego („Twórczość” Nr 11/1994) pt.: „Kajetan Morawski. Paradoks Błękitnej Krwi”. Ów ceniony profesor literatury polskiej pisze m.in.: „Ambasador Kajetan Morawski należał do tych ludzi, których skromność równa zasługom i rozlicznym talentom spowodowała, że pozostali w historii literatury polskiej nieco w cieniu... Pozostanie Morawskiego w cieniu, to również wina nieuważnych krytyków i recenzentów głównie - jak zwykle - warszawskich.” Patrz też np. „Czapski o Morawskim” „Wiadomości” 27. 01. 1974 r., dalej: wywiad o K. M. z Janem Nowakiem „Nie odtrącał nikogo” (rozmawiał Marek Zaradniak „Gazeta Poznańska”, 10. 01. 2003 r.) wreszcie artykuł Andrzeja Dobosza p.t.: „Tajne Raporty Kajetana Morawskiego” - „Obserwator”, 29 02 1992 r. - ukazał się ponownie w „Pustelniku z Krakowskiego Przedmieścia” wydanie poszerzone 2011 r. K.M. współpracował z RWE regularnie wraz z Kotem/Jeleńskim i Józefem oraz Marią Czapskimi brał udział w paryskich okrągłych stołach, dla Radia napisał też cykl audycji o „niepodległym dwudziestolecu” (na ich podstawie powstała później książka „Wczoraj” - wyd. Polska Fundacja Kulturalna w Londynie). Senat ogłosił maj 2012 r. miesiącem Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa. Być może z tej okazji ktoś przypomni sobie o Kajetanie Morawskim?

6 marca

Wczoraj w Paryżu przebywał Minister Kultury RP Bogdan Zdrojewski. Podpisał z Fryderykiem Mitterrandem, francuskim ministrem tegoż samego resortu, dużej wagi umowę zacieśniającą współpracę obu krajów w dziedzinie kinematografii. Odwiedził też Instytut Literacki Kultury w Maisons Laffitte. Przeprowadził rozmowę z Wojciechem Sikorą, obecnym szefem tej instytucji bogatej wielkiej wagi zbiorami archiwalnymi Wieczorem w Ambasadzie Polskiej w Paryżu odznaczył trzy osoby Medalem Zasłużonych Kulturze Gloria Artis. Tak więc odznaczonymi zostali: - Krzysztof Potocki, naukowiec filozof i tłumacz, który wielce przyczynił się do rozbudowy wymiany i kontaktów między francuskimi i polskimi uczelniami. - Krzysztof Jeżewski, norwidołog, tłumacz, poeta i pisarz, scenarzysta, człowiek niezwykle aktywny gdy idzie o propagowanie polskiej myśli i polskich utworów w środowiskach literackich Paryża. - Ada z Romerów Henrykowa Wysocka, uczestnik Powstania Warszawskiego, podporucznik Służby Sanitarnej AK, później jeńiec wojenny w niemieckim oflagu, po wojnie w Szwajcarii, następnie w Paryżu, gdzie otaczała opieką swego wuja, a mego ojca, ambasadora Wolnych Polaków Kajetana Morawskiego, i jego chorą, w wyniku przejść wojennych, żonę (a moją matkę). Ada z Romerów Wysocka przez długie lata w słynnej „mickiewiczowskiej” Bibliotece Polskiej w Paryżu zajmowała się klasyfikowaniem części archiwum Czartoryskich. Przez wiele lat prowadziła akcje pomocy socjalnej przy parafiach polskich i francuskich. Po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce zwerbowała 40 rodzin francuskich, które objęły opiekę nad rodzinami w Polsce...

W Ambasadzie RP miałem okazję rozmawiać z Ministrem Zdrojewskim. Zapomniałem mu wspomnieć o 60. rocznicy RWE. Zapytać czy jego Ministerstwo, czy on sam weźmie udział w tych obchodach? Może Minister Zdrojewski mógłby zabrać głos w naszym Klubie Imienia Redaktor Aliny Perth-Grabowskiej?

Wybr. i oprac.

TERESA MASŁOWSKA

Życzę Polsce zwycięstwa w Euro '2012!

Z Kyllionem Munyama, mieszkańcem Ziemi Kościańskiej, doktorem ekonomii i wielkopolskim posłem na Sejm z ramienia Platformy Obywatelskiej, rozmawia Tadeusz Jąder

- **Panie pośle! Reprezentuje Pan w polskim parlamencie powiat grodzki, co w historii, od momentu powstania tego powiatu, stanowi precedens...**

- Rzeczywiście, powiat grodzki, powstały po wejściu w życie reformy powiatowej w 1991-szym, nie miał dotąd parlamentarzysty. W ogóle nasz okręg wyborczy jest tak dziwnie skonstruowany, że stanowi pas z południa na północ Wielkopolski, w sumie 11 powiatów i ponad 200 kilometrów... Na dodatek kandydowałem z ósmego miejsca listy Platformy Obywatelskiej... Z powodzeniem. Myślę, że przeważało to, że z uwagi na charakter mojej pracy jestem dość znany w całej prawie Wielkopolsce...

- **Reprezentuje Pan także, przynajmniej w jakimś stopniu, historyczną Ziemię Kościańską, obejmującą przecież Wielichowo i Kamieniec, które obecnie wchodzi w skład powiatu grodzkiego, chociaż przed 1975 r. należały do powiatu kościańskiego. Na dodatek mieszka Pan w Karczewie, w gminie Kamieniec...**

- Powiem więcej. Moja żona urodziła się w Kościanie, moja córka i najmłodszy syn Filip również. Znam wiele osób związanych z Kościanem. Moimi kolegami w parlamencie, z tej samej politycznej opcji, są Małgorzata Adamczak i Wojciech Ziemniak, z którymi blisko współpracowałem będąc w Sejmiku Wielkopolskim i współpracuję obecnie w Sejmie. Z Uniwersytetem Ekonomicznym w Poznaniu, gdzie prowadzę zajęcia ze studentami, związani są też kościaniaci prof. Kazimierz Zimniewicz i nieoceniony prof. Tadeusz Mendel - dodam, że skądinąd korzystałem z jego prac. Dopowiem jeszcze, że moim bliskim współpracownikiem jest dr Grzegorz Kotliński ze Śmigla. Ponadto jestem też członkiem

Rady Społecznej Szpitala Neuropsychiatrycznego w Kościanie. A w ogóle to dość często bywam w grodzie na Obrą np. na zakupach i od czasu do czasu czytam miejscowe gazety, z ciekawymi „Wiadomościami Kościańskimi” na czele...

- **Proszę zatem powiedzieć czym się Pan zajmuje zawodowo?**

- Jestem nauczycielem akademickim, na Uniwersytecie Ekonomicznym w Po-

- **A w Sejmie, poza udziałem w posiedzeniach plenarnych, pracuje Pan wykorzystując swe merytoryczne przygotowanie?**

- Myślę, że można to tak określić. Biorę udział w pracach Komisji Finansów Publicznych i Podkomisji ds. Instytucji Finansowych, a także Komisji Spraw Zagranicznych. Tu zaangażowałem się w działalność parlamen-



Kyllion Munyama wraz z żoną i dziećmi.

Fot. ze zbiorów rodzinnych

znaniu, gdzie prowadzę zajęcia ze studentami. Myślę, że dlatego jestem rozpoznawalny przez osoby mające styczność z uczelnią. Pracuję na Wydziale Ekonomii, w Katedrze Bankowości. Specjalizuję się w finansach międzynarodowych. Doktorat obroniłem w 1994 r., jeszcze wtedy w Akademii Ekonomicznej, a obecnie jestem w trakcie habilitacji. Jej tematem jest rozwój finansowy i gospodarczy wybranych krajów Afryki Subsaharyjskiej, w tym mojej rodzinnej Zambii. Właśnie czekam na recenzje do tej pracy. Jedna z nich już nadeszła, a w najbliższym czasie spodziewam się trzech pozostałych.

tarnych zespołów: ds. Afryki, ds. Gospodarki Rosyjskiej, ds. Strażaków i ds. Wolnego Rynku. Ponadto wszedłem w skład dwóch grup parlamentarnych: polsko-brytyjskiej i polsko-amerykańskiej.

- **Jest Pan drugim w Polsce ciemnoskórym parlamentarzystą, po pośle Johnie Godsonie z Łodzi. Czyżby u nas, w Polsce, nastąpiła moda na posłów z kontynentu afrykańskiego?**

- Nie sędzę, myślę że liczy się przede wszystkim kim kto jest, co ma w głowie, i czy może

usatysfakcjonować swoich wyborców. Mam też pewien staż w pracy samorządowej, gdyż w dwóch kadencjach zostałem wybrany radnym i pracowałem w Sejmiku Województwa Wielkopolskiego. A w latach 2002-2006 byłem radnym w Radzie Powiatu Grodzkiego. Przy okazji – serdecznie dziękuję za głosy w ostatnich wyborach parlamentarnych oddane na moją kandydaturę, w tym zwłaszcza mieszkańcom Ziemi Kościańskiej z gmin Kamieniec i Wielichowo.

- Zechce Pan powiedzieć Czytelnikom „Wiadomości” skąd Pan pochodzi?

- Urodziłem się w 1961 r. w Zambii, w Makali. Stamtąd przyjechałem do Polski, w 1981 r., w ramach rządowego stypendium. Najpierw uczyłem się w Studium Języka Polskiego w Łodzi, a następnie w 1982 r. podjąłem studia w Akademii Ekonomicznej w Poznaniu. Kiedy już robiłem doktorat, poznałem moją żonę Elżbietę. Ożeniłem się z nią i zamieszkałem w Karczewie, w gminie Kamieniec. Tak więc większość swego życia spędziłem w Polsce, obchodzę te same święta, przejąłem liczne polskie obyczaje i czuję się Polakiem.

- Tymczasem, ostatnio został Pan brutalnie zaatakowany przez ksenofobiczny portal Red Watch, znany z licznych rasistowskich wybryków...

- To bardzo dla mnie przykry incydent, gdyż dotąd nie doświadczyłem w Polsce nietolerancji i podobnie obelżywych wystąpień. Tymczasem na witrynie internetowej pojawiły się pod moim adresem brutalne, jednoznacznie rasistowskie wypowiedzi. Ta witryna jest utrzymana na amerykańskim serwerze i trudno cokolwiek z nią zrobić. Postanowiłem zatem skierować sprawę do prokuratury i na drogę sądową. Moim pełnomocnikiem jest mec. Roman Giertych, były wicepremier i lider Ligi Polskich Rodzin, ale też bardzo znakomity prawnik, do którego – uprzedzając pańskie pytanie – mam pełne zaufanie. Na razie czekamy na ogłoszenie terminu rozprawy.

- Proszę przedstawić swoją sytuację rodzinną.

- Zona jest nauczycielką biologii i informatyki, pracuje w szkole w Kamieńcu. Mam troje dzieci. Najstarszy, Jeffrey, jest studentem politologii, więc idzie niejako w ślady ojca. Córka Pamela będzie w tym roku zdawała maturę w liceum w Grodzisku. Najmłodszy Filip ma 11 lat i uczy się w szkole podstawowej w Kamieńcu.

- Swych więzi z rodziną w Zambii chyba Pan nie zerwał?

- Oczywiście, utrzymuję kontakt ze swoim krajem i rodziną w Afryce. Praktycznie wyjeżdżam tam raz w roku, najczęściej na dwa tygodnie. Zajmuję się wtedy głównie rodziną i rodzinnymi sprawami. Ostatnio moja mama poważnie chorowała, musiałem się nią opiekować.

- A swojej polskiej rodziny nie zabiera Pan do Afryki? Może by chcieli bliżej poznać kraj i rodzinę swego ojca?

- Pewnie, żeby chcieli. Nawet się rwią do takiego wyjazdu. Niestety, taki wyjazd jest bardzo kosztowny, zwłaszcza wysokie są koszty przelotu. To jest ładnych parę tysięcy złotych na osobę. Gdybym chciał zabrać wszystkich ze sobą, to rachunek za wyjazd wzrósłby pięciokrotnie! Powiem tak, chcielibyśmy i przymierzamy się do takiej wycieczki, ale wcześniej musimy zaoszczędzić odpowiednie pieniądze...

- Co ciekawego można zobaczyć w Zambii?

- Zambia ma wiele ciekawych dla turystów miejsc. Naturalne parki narodowe liczą tu więcej jak połowę powierzchni całego kraju, który jest ponad dwukrotnie większy od Polski. Największą atrakcją jest zapewne Wodospad Wiktorii i wyjazdy na safari. Niestety, w Zambii słabo jest rozwinięta infrastruktura turystyczna. Nie ma wystarczająco dużo hoteli o różnicowanym standardzie, dużo do życzenia pozostawia sieć drogowa i transport. Warto zauważyć, że Zambia nie ma dostępu do morza, przyjezdni są więc praktycznie zdani na transport lotniczy. Kraj ma natomiast stabilny system polityczny, ma też znaczne zasoby surowcowe. Jest ósmym w świecie producentem miedzi, a poza tym wydobywa się tam kobalt, cynk, ołów, a także złoto...

- Zambia ma też wielkie osiągnięcia sportowe. Ostatnio, w lutym tego

roku, drużyna narodowa zdobyła Puchar Afryki w piłce nożnej. Jak słyszałem Pan bardzo interesuje się sportem. Proszę zatem przyjąć gorące gratulacje, bo to przecież wielki sukces, a na dodatek całkiem niespodziewany!

- Rzeczywiście, nie kryję, że jestem kibicem, lubię tenis i siatkówkę, sam trochę gram, kibicuję zaś przede wszystkim piłce nożnej. Rozgrywki Pucharu Afryki, to były dla mnie, mojej rodziny, przyjaciół i znajomych bardzo emocjonujące dni. Tym bardziej, że mecze można było bezpośrednio obserwować w telewizji. Finał w Gabonie, w którym zwycięstwo wywalczyła Zambia, oglądaliśmy w domu, w szerszym gronie znajomych. No i nie muszę mówić, jaki wielki entuzjazm wywołało zwycięstwo mojej drużyny. To wspaniałe osiągnięcie. Niektórzy na świecie i w Polsce, o Zambii usłyszeli po raz pierwszy! Przypomnijmy też, że Zambia, już dwukrotnie wcześniej, chociaż bez powodzenia występowała w finale Pucharu Afryki – w 1974 i 1994 r.

- Tymczasem w Polsce zbliżają się Mistrzostwa Europy w Piłce Nożnej. Będzie Pan kibicował polskiej drużynie?

- Oczywiście! Liczę też na to, że polski zespół sięgnie po mistrzowski puchar!

- To chyba jest Pan jedynym takim entuzjastą?

- Polska gra u siebie, ma świetnych zawodników, bardzo potrzebuje sukcesu, a wiadomo - nawet ściany pomagają gospodarzom. Z grupy na pewno wyjdzie. A dalej? Dalej, może być tylko lepiej. Na Zambię też nikt nie liczył, a kto obstawił zwycięstwo, mógł zgarnąć naprawdę duże pieniądze. Życzę jak najlepiej polskiej drużynie i mocno w nią wierzę!

- Bardzo, w imieniu Czytelników „Wiadomości Kościańskich”, dziękuję za te miłe słowa...

- Proszę pozwolić mi złożyć Czytelnikom najlepsze życzenia na zbliżające się święta. Życzę zatem dla wszystkich Czytelników „Wiadomości Kościańskich” spokojnych, dobrych Świąt Wielkanocnych, pomyślności, dużo radości i zdrowia. Wszystkiego dobrego!



Elżbieta Szlapka: - Śpiewać trzeba wszystko.

Fot. Katarzyna Żurek

Pół wieku z „Lutnią”

Pani Elżbieta Szlapka od urodzenia mieszka w Kościanie. Swoje dorosłe życie w dużej mierze związała z kościańską „Lutnią”. Do chóru trafiła jako piętnastoletnia dziewczyna i śpiewa tam do dziś. W lutym tego roku obchodziła jubileusz 50 – lecia działalności chóralnej.

Świadomość tradycji

„Lutnia” i jej historia, to spuścizna wielu pokoleń Kościaniaków. To jeden z najstarszych chórów amatorskich działających w Polsce. Jego początki sięgają 1876 roku, wówczas to w znajdującym się pod zaborem pruskim Kościanie powołano Towarzystwo Śpiewu – kółko muzyczne. W zeszłym roku chór obchodził jubileusz 135 – lecia. Przez ten czas nie przerwał on swojej działalności. Nawet w okresie okupacji odbywały się w grupkach nielegalne próby i występy. Ta wieloletnia tradycja i kultura powinna być dostępna i tożsama dla każdego z nas. To są rzeczy, o których pamięta pani Ela i chce, aby identyfikowały się z tym jej dzieci i wnuki. Jest dumna z tego, że śpiewa w tym chórze, i od 50 lat współtworzy jego tradycję.

Do „Lutni” trafiła jako piętnastoletnia dziewczyna. Od zawsze lubiła śpiewać, jest to umiejętność naturalna i robiła to z prawdziwą przyjemno-

ścią. Wówczas, była też inna rzeczywistość, młodzież garnęła się do śpiewania. W szkołach prędnie działały liczne chóry i towarzystwa muzyczne, a nauczyciele gorąco zachęcali do uczestnictwa w próbach. W szkole podstawowej nr 3 (dzisiejsza „jedyńka”) śpiewała w chórze pani Marii Roszak. Tutaj też na swojej drodze spotkała mgr. Zygmunta Cichockiego, późniejszego dyrygenta „Lutni”. Był nauczycielem muzyki i dodatkowo prowadził chór szkolny. To właśnie pod batutą pani Marii i pana Zygmunta, później również Ignacego Minty zdobywała pierwsze szlify i uczyła się śpiewu w wielogłosie. Za namową koleżanki, już jako uczennica Zasadniczej Szkoły Handlowej w Kościanie, zgłosiła się na próby do kościańskiej „Lutni”. Był rok 1962. Koleżanka, odeszła po kilku latach. Pani Ela nie chciała rezygnować. Czuli, że nie może żyć bez chóru, bez spotkań z przyjacielami i muzycznych emocji. Atmosfera „Lutni” urzekła ją.

Cudowna moc głosu

Od razu dobrze się tu poczuła. Starsze koleżanki otoczyły młode dziewczynę troskliwą opieką i fachowym wsparciem. Pani Ela śpiewała jako sopran, czyli najwyższy głos kobiecy. Pod okiem doświadczonych koleżanek oraz ówczesnego dyrygenta Zygmunta Cichockiego mogła doskonalić swój warsztat wokalny. Przez te wszystkie lata bardzo zżyła się z chórem. Tutaj poznała wielu przyjaciół, przeżywała trudności i radości dnia codziennego. W międzyczasie wielu kolegów odeszło, zakładając rodziny, poświęcając się pracy zawodowej. Pani Ela pozostała wierna „Lutni”. Nie twierdzi, że było łatwo. Pojawiły się dzieci – syn i córka. Ponadto całe życie pracowała zawodowo. Musiała znaleźć czas, aby pogodzić wszystkie te obowiązki.

Kiedy dzieci były małe bardzo pomagała jej mama oraz mąż. To dzięki nim mogła pozwolić sobie na próby w każdy poniedziałek i środę. Przyznaje, że czasami czuła się zmęczona. Nigdy jednak nie pomyślała o tym, aby rozstać się z chórem. W ciężkich chwilach to właśnie muzy-



Rok 1965. „Lutnia” pod dyrekcją Zygmunta Cichockiego na-kościelnym Rynku. Fot. w zbiorach bohaterki artykułu

ka i śpiew dodawały jej energii, działały mobilizująco. Pozwalały wręcz odzyskać siły. Moc głosu i muzyki okazały się nie do zastąpienia. Było to jak zastrzyk pobudzających i pozytywnych emocji. Poza tym sprawiało jej to ogromną satysfakcję.

Przez szereg lat poznała bogaty repertuar muzyczny. „Lutnia” zawsze była wszechstronna. Dbał o to dyrygent Cichocki, później jego następczyni Katarzyna Swinarska, pod której to batutą chór działa i koncertuje dzisiaj. Pani dyrygent stara się nie ograniczać swoich chórzystów i nie zamykać ich w jednorodnym materiale muzycznym. - **To nie byłoby dobre dla chóru. Śpiewać trzeba wszystko i muzykę lżejszą i tę poważną; religijną, patriotyczną** – mówi pani Ela. Należy znaleźć coś odpowiedniego na każdą okazję. Tylko wówczas chór staje się pełniejszy, ciekawszy. Wówczas też może znaleźć szersze grono odbiorców. Pani Ela nie ma swojego ulubionego utworu. Wykonanie jednej pieśni przychodzi łatwiej, inne wymagają dużo pracy i ćwiczeń. Z tego co pamięta najczęściej trudności przysporzył jej utwór Karola Kurpińskiego Polonez „Cześć Ci Polsko”. Nie ma jednak rzeczy, której człowiek dzięki pracy nie mógłby opanować. Tak więc pani Elżbieta zmobilizowała się. Poświęciła na ten utwór mnóstwo czasu i nauczyła się go perfekcyjnie wykonywać.

U Ojca Świętego

„Lutnia” dawała jej możliwość poznawania ciekawych ludzi, ale także interesujących miejsc. Chór zawsze dużo koncertował. Występował nie tylko w Polsce, ale również kilkakrotnie w Bułgarii, Włoszech, Francji, Holandii, Niemczech, Austrii i Czechach. - **Przytaczając słowa naszej pani dyrygent można powiedzieć: chór który nie koncertuje – nie żyje. Po to się spotykamy i działamy. Tylko wówczas nasza praca ma sens** – opowiada pani Ela. Dziś Lutnia współpracuje z chórami z Czempinia, Mosiny i Śremu. Koncertuje w Kościanie oraz innych miastach Polski. Chór występuje wszędzie gdzie jest zapraszany. W latach 80-tych takie wyjazdy były jedyną możliwością poznania Europy. Dziś każdy może wyjechać indywidualnie, bez żadnych dodatkowych komplikacji. Wówczas nie było to proste. Tak więc Lutnia była dla pani Eli takim „oknem na świat”. Głównie dzięki popularnym wówczas wymianom międzynarodowym zwiedziła Holandię, Niemcy, Bułgarię czy Rumunię. Dziś wspomina z sentymentem, kiedy to gościła w swoim domu Rumunki, Holenderki i Bułgarki. Czy jak w ramach wymiany doświadczeń i nie tylko wozila do Bułgarii nasioną kalarepy, a do Holandii polską musztardę: ponieważ robiły tam niesamowitą furorę.

Najlepiej zapamięta jednak wyjazd do Włoch w 1994 roku. Właściwie była to wycieczka do Rzymu. Podczas mszy świętej z okazji beatyfikacji siostry Faustyny,

chórzyci zaśpiewali w jednym z rzymskich kościołów. Po mszy otrzymali zaproszenie od jednego z dostojników watykańskich na prywatną audiencję u Ojca Świętego. Była to dla niej ogromna niespodzianka, a zarazem ciekawość spotkania z Janem Pawłem II. W trakcie audiencji wykonali pieśń „Wszystkie Trony Niebieskie”. Jan Paweł II okazał się być niezwykle ciepłym i otwartym człowiekiem, zaśpiewał razem z nimi. Co bardzo ją zaskoczyło, sporo wiedział o Kościanie i jego dziejach. Pytał o Sanktuarium im. Oskara Bielawskiego.

Jubileuszowe życzenia

Czego życzy sobie i „Lutni” na przyszłość? Tego, aby bogata spuścizna i tradycja chóru nie poszły w zapomnienie. Aby jego dokonania współtworzyły naszą tożsamość i jednocześnie pozwoliły identyfikować się młodym ludziom z lokalną tradycją. Kiedy pani Ela trafiła do „Lutni”, działało w niej dużo młodzieży. Chór był wielopokoleniowy. Śpiewały w nim całe rodziny, rodzice z dziećmi, dziadkowie. Tradycja była przekazywana z pokolenia na pokolenie. Dziś w chórze zaczyna brakować młodych, silnych głosów. To problem, z którym boryka się większość chórów amatorskich w Polsce. Pani Ela pragnie, aby młodzież zaczęła przychodzić na próby; by ludzie młodzi odkryli piękno i satysfakcję, jaką daje śpiew w wielogłosie.

KATARZYNA ŻUREK

Śladami siostry Joanny (II)

Przedsionek nieba

Matka Anna Maria prowadzi nas do kaplicy p.w. Matki Boskiej Anielskiej. Powstała w 1925 r. według projektu Łukasza Wolskiego. Ostatnio wyremontowana i unowocześniona; zachowała jednak pierwotny styl. Niezwykła to budowla, zwłaszcza jej wnętrze. Nie okorowane pnie drzew, podtrzymujące sklepienie, dużo kwiatów – wyraz prostoty Lasek, symbol franciszkańskiego ubóstwa, ale też centrum laskowskiego życia. Kaplica jest stale otwarta, czuwa tylko jedna z zakonnice. Chłodny półmrok, lekki zapach żywicy. Centralne miejsce zajmuje duży, prosty krzyż na ścianie, obok obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Ołtarz, o którym mówi się, że był zwrócony w stronę wiernych daleko przed soborowymi ustaleniami, rzędy prostych, surowych ławek. To stąd wyruszają kondukty na cmentarz. Podczas nabożeństw prawą stronę zajmują zakonnice, lewą świeccy. Kaplicę ma w swej pieczy nowy, młody rektor, ks. dr Grzegorz Ostrowski.

Później, zachęcane przez Matkę Annę Marię, idziemy na wieczorne nabożeństwo. Towarzyszy nam dreszcz emocji, bo czym innym zwiedzanie kaplicy, czym innym uczestniczenie z nabożnym skupieniem w tym swego rodzaju misterium. Dusza rozplywa się jak za dawnych dziecięcych lat i człowiek zastanawia się czy to aby terazniejszość. Co tak działa, słowa, widok ludzi zatraconych w modlitwie czy melodia? Niepowtarzalna atmosfera, która pochłania bez reszty. Dziwne, ptak-śpiewak wtóruje siostrą z pobliskiego drzewa. Kiedy kaplicę zalega podniosła cisza – on też milknie. Nabożeństwo się kończy, siostry zostają na modlitewne medytacje, powierzają niebu dzienne sprawy. A my wracamy do rzeczywistości, próbujemy sfotografować modlące się zakonnice. Oryginalny kontrast: modlitewne uniesienia i konieczne trzeźwe spojrzenie. Chyba tak to odebrała jedna z siostr (niezorientowana, że mamy pozwolenie na fotografowanie), podchodzi i poucza nas, że w modlitwie się nie przeszkadza. Nieco później sprawa się wyjaśnia.

Tymczasem taki niezwykle widok: nadjeżdża kolarz – rosły mężczyzna w siłę wieku. Zarówno strój, jak i sprzęt świadczą o profesjonalizmie, wprost perfekcji. Rower opiera o ogrodzenie, podchodzi do kaplicy, otwiera drzwi i w skupieniu patrzy przez chwilę w stronę prezbiterium. Jakby szukał natchnienia. Odchodzi kilka kroków, nie zdejmując nawet kasku, klęka na trawniku i żarliwie się modli. Swoisty sposób dialogu z Bogiem. Po pewnym czasie bierze rower, przeprowadza

przez plac, za opłotowaniem jedzie dalej. Oprócz nas, nikt nie zwraca na niego uwagi. Zresztą później takie sceny też nie budziły naszego zainteresowania, ta zrobiła duże wrażenie.

Dzieło Matki Czackiej

Z prawej strony przylega do kaplicy pokój Matki Czackiej. Tu odbywały się najważniejsze rozmowy, dotyczące istnienia Dzieła Lasek. W ścianie kaplicy jest małe podłużne okienko, przez które schorowana już Matka słuchała nabożeństw. Pokój, w zmienionej formie, stanowi pewnego rodzaju muzeum; przechowuje się w nim pamiątki po założycielce i nie jest używany do innych celów. Kiedy zapada gęsty mrok, zapewne ściany toczą ściszoną głosami legendę tego miejsca.

Założycielka Dzieła Lasek, Matka Elżbieta Czacka urodziła się w 1876 r. w Białej Cerkwi na Ukrainie. Znana wcześniej, jako hrabianka Róża, straciła wzrok w 22 roku życia. Z domu wyniosła gruntowne wykształcenie i głęboką wiarę. Po wielu operacjach, ociemniała Róża zdecydowała się nie tylko żyć aktywnie, ale pomagać innym, jak ona pozbawionym wzroku. Ta decyzja przesądziła o jej losie i o losie wielu ludzi ociemniałych. Po dziesięciu latach przygotowań – samodzielnych studiów tyfologicznych (tyfologia – nauka o oświacie niewidomych), poznawania zagranicznych ośrodków dla niewidomych – w 1911 r. założyła w Warszawie Towarzystwo Opieki nad Niewidomymi, istniejące do dziś. Skupiło ono ludzi, którzy chcieli poświęcić się pracy nad przygotowaniem niewidomych do życia w społeczeństwie ludzi widzą-

cych, głównie ukazać sens życia i dać wykształcenie zawodowe.

Lata I wojny światowej były czasem przygotowania Róży do życia zakonnego. Złożyła śluby wieczyste w III Zakonie św. Franciszka, włożyła habit i przybrała imię Elżbieta. Po wojnie rozpoczęło się przyjmowanie do zakładu osób niewidomych i kandydatek do Zgromadzenia Sióstr Franciszkanek Służebnic Krzyża, które wspólnie z Towarzystwem Opieki nad Ociemniałymi miało opiekować się niewidomymi! Po 1922 r. zarówno zgromadzenie, jak i towarzystwo przeniosły się do Lasek pod Warszawą. Laski rosły – od pustego, paromorgowego kawałka ugoru, podarowanego Matce Czackiej, przez prowizoryczne budynki, do kilkudziesięciu zabudowań na dziesiątkach hektarów – i rosła nadal. Z czasem nazwa Laski stała się symbolem współpracy sióstr, niewidomych i pracowników świeckich. Matka Elżbieta Czacka do 1950 r. była ich sercem i duszą. Dużo pisała, dużo pracowała, dążąc do tego, by wychować niewidomych na samodzielnych członków społeczeństwa. Zmarła w 1961 r. po ciężkiej chorobie w opinii świętości.

W 1930 r. zamieszkał w Laskach ks. Władysław Kornilowicz (1884 – 1946). Został Ojcem całego Dzieła Lasek, które stały się nie tylko miejscem jego życia, ale też centrum apostołstwa wobec ludzi poszukujących wiary. Jemu Laski zawdzięczają duchowy kierunek i to, co dziś nazywa się duchowością Lasek. Od 1918 r. był opiekunem duchowym grupy dyskusyjnej „Kół-



Matka Elżbieta Czacka z Antonim Marylskim. Fot. w zbiorach zgromadzenia

ko”, skupiającej młodzież akademicką i młodą inteligencję, niezależnie od przynależności religijnej. W latach 1920 – 1921 wykładał we Włocławku w Seminarium Diecezjalnym, gdzie do studentów należał m.in. - w przyszłości prymas - ks. Stefan Wyszyński. Rekolekcje w Laskach ks. Kornilowicz organizował już od 1927 r., głównie dla uczestników „Kółka”, trzy lata później ukończono budowę Domu Rekolekcyjnego. Odtąd odbywały się w nim rekolekcje grupowe i indywidualne, przyjeżdżali wierzący i niewierzący.

W czasie II wojny światowej, Oj-

ciec ks. Kornilowicz, poszukiwany przez Niemców, ukrywał się w Żuławie. Dom Rekolekcyjny był przeznaczony na szpital dla rannych, a kaplicę zamieniono na salę operacyjną. W 1946 r., po ciężkiej chorobie ks. Władysław Kornilowicz zmarł, również w opinii świętości.

Z lewej strony do kaplicy przystulony jest mały domek; był mieszkaniem Antoniego Marylskiego (1894 – 1973). „Antoni Marylski – to półwiecze Lasek. Z siedemdziesięciu dziewięciu lat jego życia, pięćdziesiąt, z przerwami na wyjazdy, przypada na Laski, a pięćdziesiąt lat działalności Lasek w istotny sposób jest związane z jego postacią” – powiedział przyjaciel Marylskie-

go, Tadeusz Mazowiecki. Antoni Marylski był budowniczym Lasek od 1922 r., wykonawcą idei i zamierzeń Matki Czackiej. To on zbudował osadę dla sióstr i niewidomych. Organizował opiekę nad dorosłymi niewidomymi, tzw. patronaty, był prezesem Towarzystwa Opieki nad Ociemniałymi, kamieniem węgielnym Dzieła, jak pisała Matka Czacka, radząc się go we wszystkich sprawach, kiedy wyjeżdżał z Lasek studiować lub leczyć się. Poza tym, był to człowiek światły, znający literaturę polską, francuską i rosyjską, przyjaciel teologów katolickich i filozofów. Łączył wysokiej klasy intelektualizm z laskowską działalnością gospodarczą. Pomagał prostym ludziom w załatwianiu różnych spraw i pośredniczył w trudnym wówczas dialogu osób świeckich i hierarchii kościelnej, dotyczącym spraw szerszych, związanych z życiem kraju i Kościoła. Znakomicie wykształcony teolog i filozof, w 1971 r., dwa lata przed śmiercią, przyjął święcenia kapłańskie.

Po śmierci ks. Marylskiego mały domek przy kaplicy „odziedziczyła” Zofia Morawska. Urodziła się w 1904 r. w Turwi. Była córką profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kazimierza Morawskiego, który po I wojnie światowej był jednym z kandydatów na prezydenta Polski. Zofia, od 1930 r. związana z Towarzystwem Opieki nad Ociemniałymi w Laskach, do 103 roku życia członek Zarządu Towarzystwa, przez wiele lat była najbliższym współpracownikiem Matki Czackiej i Antoniego Marylskiego. Zajmowała się finansami towarzystwa, pozyskując środki i wielu sponsorów, organizowała patronaty i opiekę indywidualną. „Pani Zofia wszystko nam kupowała” – mówi Mateusz Pralut z Kościana, który w Laskach ukończył Szkołę Zawodową i odwiedza Laski, wraz z rodzicami, z różnych okazji. Zofia Morawska, za swą pracę, jako pierwsza Polka w historii orderu, odznaczona została w 1994 r. Orderem Orła Białego. Zmarła w 2010 r., w wieku 106 lat. Po jej śmierci mały domek przy kaplicy został przeznaczony na zakrystię i biuro księdza rektora, właśnie ekipa z Podhala przeprowadza remont.

Spacer po osiedlu

Podziwiamy niespożytą energię Matki Anny Marii. Zapowiada pokazanie nam całego osiedla, a początkowo mu-

simy się zadowolić wędrówką pieszą. Odwiedzamy budynki po kolei, najbliższej mamy do nowego archiwum. Kilka tygodni przed naszym przyjazdem zostało poświęcone i otwarte – tak piękne, nowoczesne, że i IPN by się nie powstydział. Jest jeszcze częściowo puste, bo przenosi się archiwalia ze starego budynku. Siostra Faustyna jest w swoim żywiole. Dwadzieścia pięć lat była w Laskach katechetką, po skończeniu archiwistyki prowadzi archiwum; pomagają jej dwaj świeccy pomocnicy. Spytana skąd pochodzi, odpowiada: - „Z Pogorzeli koło Gostynia”. A więc jesteśmy „krajankami”! Znałam kiedyś dziewczynę z Pogorzeli – chodziliśmy do tej samej klasy w liceum. Kiedy wymieniam jej imię i rodzinę, s. Faustyna mówi: „Jej siostra była moją najbliższą przyjaciółką”. No tak, daleko pojechaliśmy, żeby sobie to opowiedzieć. Poza tym, s. Faustyna wspomina ks. Stanisława Tokarskiego, który swego czasu, jako wikariusz w Pogorzeli, zęgnął ją, kiedy wyjeżdżała do Lasek, a teraz dowiedziała się, że został proboszczem w Racocie. Świat jest mały.

Następny obiekt, to infirmeria – szpitalik, gdzie pracują świeccy lekarze i świeckie pielęgniarki obok sióstr zakonnych. Małe pokoiki, w jednym z nich siostra Joanna Lossow spędziła ostatnie lata życia; już schorowana, ale aktywna. Matka Anna Maria wita się ze wszystkimi serdecznie, dla każdego spotkanego pracownika, łącznie z panem Józefem, wycierającym podłogi, ma mile słowo.

Budynki szkolne – puste. Dzieci wyjechały na kolonie do Sobieszewa lub do rodziców. Jest tylko kilka dziewcząt w internacie, a z nimi pielęgniarka siostra Kamila. Jak wszędzie miła atmosfera, ale tutaj serdeczność wznaga przypadek. Dziś w kalendarzu Kamili; takie imię przybrała siostra tu w zgromadzeniu. Trafiłyśmy na imieniny. Niektóre budynki się remontuje; w powietrzu wszechobecny zapach farb, ale i świeżości. Mijamy domy sióstr; ten najstarszy, w pobliżu centralnej kaplicy jest Domem św. Franciszka, innym patronują św. Rafał, św. Teresa, św. Paweł – każdy dom ma swego patrona.

Przy głównej alei wolnostojący, biały domek Justyny i Władysława Gołąbów. Pan Władysław Gołąb, niewidomy prawnik, od lat jest prezesem Zarządu TOnO. W pobliżu okazały obiekt –

Dom Przyjaciół Niewidomych, w którym mieści się administracja Ośrodka Szkolno-Wychowawczego, także gabinet dyrektora Piotra Grocholskiego. Obok znajduje się biblioteka z 30 tysiącami książek oraz biblioteka brajłowska. Teren jest tak rozległy, że do bardziej oddalonych miejsc jedziemy samochodem. Mijamy szkołę muzyczną, warsztaty szkolne, szkołę specjalną im. św. Maksymiliana, Dom Absolwenta. Prezentują się okazałe, każda budowla ma swój odrębny charakter. Jednak najokazalej wśród nich wygląda najnowszy budynek szkoły podstawowej i gimnazjum – robi wrażenie. Stary budynek szkolny strawił pożar w 2008 r., a we wrześniu 2009 r. otwarto ten nowy, z nowoczesnym wyposażeniem i piękną salą.

Za sobą zostawiamy zabudowania administracji TOnO, domy prywatne pracowników ośrodka, w pobliżu których znajduje się posesja państwa Zanussich.

Serce Lasek

Słońce jeszcze wysoko na niebie, wieczór piękny, warto zobaczyć co mieści się w całym Domu Rekolekcyjnym. Idziemy go zwiedzić. Centralną jego częścią jest duża jadalnia, gdzie nas karmią, zawsze przy tym samym, wcześniej zastawionym stole. Ciepłe posiłki dostarczane są z centralnej kuchni w bardzo dużych termosach, resztę wykonuje się na miejscu. W kuchni niestrudzenie pracuje siostra Józefa ze świecką pomocnicą z Albanii. Pomaga im siostra Ignacja; ta sama, która opiekowała się siostrą Joanną w jej ostatnich latach życia. Wszystkiego dogląda, prowadząca Dom Rekolekcyjny, przełożona s. Bogumiła. Już pierwszego dnia te siostry zwróciły moją uwagę i prawie zmusiły do bliższego poznania. Szczególna sympatia, życzliwość,



Na cmentarzu w Laskach. Autorka tekstu z Matką Generalną Anną Marią Sikorską (z lewej) i siostrą Rut Wasiek. Fot. Hanna Wiśniewska - Śliwińska

Nie ma ich w domu, wyjechali nad morze, gdzie reżyser Krzysztof Zanussi jest zaangażowany – artystyczna impreza. Poza budynkami pola uprawne, dotykające do ściany drzew. Puszcza Kampińska jest w pobliżu nas – blisko, na obrzeżach pól, i mający daleko na horyzoncie. Niepowtarzalne położenie. Zawracamy, mijamy budynki gospodarcze, między innymi stajnię, bo ośrodek prowadzi hipoterapię. Wycieczka zdawała się nie mieć końca, ale zniemacka zbliżamy się do parkingu. Jesteśmy w samą porę, zaraz czas na kolację.

troška – czy aby czegoś nie brakuje – wyrażają się we wszystkim. Na grzecznościowe: - Dziękujemy! zawsze bardzo miło odpowiadają: - Na zdrowie! Kiedy w dniach rekolekcji panuje w jadalni tłok, przychodzą pomagać jeszcze inne siostry i wolontariuszki.

Jadalnia należy do nowej części Domu Rekolekcyjnego. Po rozbudowie dom ma 60 miejsc noclegowych; służą głównie w czasie rekolekcji grupowych i dniach skupienia. Od 1961 r. laskowski dom

stał się też miejscem spotkań ekumenicznych – domem modlitwy o jedność chrześcijan. Na piętrze, obok nas, są pokoje 2 i 3 – osobowe, na drugim piętrze nawet 6-osobowe. Tam mieści się też domowa kaplica. Druga, podobna znajduje się w przeciwległej części domu. Na dole przy głównym wejściu – recepcja, miejsce pracy s. Ignacji. Czasem pomaga wolontariuszka z Warszawy; spytana jak tu, czyli do Lasek, trafiła, odpowiada: – „*Tutaj wychowała się moja mama*”. Naprzeciw recepcji pokój przełożonej s. Bogumiły. Na drzwiach wywieszka – spis wszelkich miejsc możliwego jej pobytu i „przesuwacz”, informujący gdzie jest. Trochę zabawne, ale bardzo praktyczne.

Kiedy ks. Kornilowicz zamieszkał na stałe w Laskach, zajmował w Domu Rekolekcyjnym pokój, który zachowano, wraz z przylegającą biblioteką, w niezmiennym stanie; nawet niektóre przedmioty codziennego użytku ocalały i znajdują się na dawnym miejscu, mimo że od śmierci księdza upłynęło sporo ponad pół wieku. Ten pokój, to drugie miejsce stanowiące swego rodzaju muzeum.

Ściany korytarzy także wypełnione są historią. Największe wrażenie robi swoiste laskowskie drzewo genealogiczne. Na środku zdjęcie założycielki, Matki Czackiej; potem jej portrety, mniejsze i większe, spotykamy w różnych salach i korytarzach. A wracając do „drzewa”, w centralnej jego części spoglądają z małych portretów współpracownicy i kontynuatorzy Działa, znani ze swej działalności laskowscy ludzie niezwyklej miary: wspomniani już – ks. Władysław Kornilowicz i ks. Antoni Marylski, obok Zygmunt Serafinowicz – kierownik tutejszych szkół, Henryk Ruszczyk – przyjaciel i wychowawca, organizator szkolenia zawodowego, który organizował między innymi Zakład dla Niewidomych w Jarogniewicach, s. Teresa Zofia Landy – współpracująca z Matką Czacką, i wielu innych, jak siostra Katarzyna – znana samarytanka, o której mówiono, że jej imię „wszystkie drzwi otwiera” czy siostra Nulla, której wiersze i dziś nie straciły na aktualności. (cdn)

TERESA WIŚNIEWSKA

„Wujek był człowiekiem skromnym”

Historie rodzin, połączone z pogmatwaną historią naszego kraju, niosą ze sobą ogromny ładunek emocji; pięknych i bolesnych. Warto je spisać i przypominać, aby móc korzystać z mądrości i doświadczeń naszych przodków. To ważne dla naszej świadomości, aby wiedzieć gdzie są nasze korzenie, mieć poczucie własnej tożsamości - w sensie narodowym i lokalnym. Od wielu lat dewizę tę stara się realizować Aleksandra Szukalska, kościanańska, wywodząca się z rodzin Fabiańczyków i Szfranków, którym przyświecały cechy uczciwości, pracowitości i miłości Ojczyzny.



Komendant placówki NOW w Kościanie Edward Fabiańczyk (1913 – 1942)

Opowieści rodzinne

Urodziła się 21 sierpnia 1941 roku. Trwała wojna. Większość bliskich jej osób działała w konspiracji. Jednym z nich był brat matki - Edward Fabiańczyk, inicjator i komendant placówki Narodowej Organizacji Wojskowej. **Niestety, nie pamiętam wujka osobiście. Byłam małą dziewczynką, kiedy został stracony – opowiada dziś. Poznałam go jednak doskonale dzięki opowieściom mojej mamy Jadwigi oraz starszej siostry Krystyny.**

Edward był młodym, pełnym wiary i optymizmu człowiekiem. Nie bał się życia i czerpał z niego garściami. Zawsze myślał o najbliższych. Rodzina stanowiła dla niego wartość najważniejszą. Być może wynikało to z atmosfery w jakiej się wychował. Dziadkowie pani Aleksandry byli bowiem ludźmi serdecznymi, pełnymi ciepła i miłości a dom przy ul. Grodzkiej 11 w Kościanie zawsze stał otworem dla przyjaciół i licznych gości. Marcin i Wiktoria kultywowali tradycje narodowe i starali się wpoić je swoim pociechom. Mieli 5 synów i 3 córki. W domu zawsze było gwarno i wesoło. Trzech synów Stefan, Kajetan i Julian działało w skautingu, brali udział w Powstaniu Wielkopolskim. Harcerski duch domu ścigał na ul. Grodzką wielu młodych Polaków. **Spotykali się tu aby dyskutować o wolnej Polsce – wspomina pani Aleksandra – ale również, by się bawić śpiewać i żartować. Przyjaciół było tak wielu, że siadali gdzie bądź, na tapczanie, parapecie. Na te okazje babcia Wiktoria wypiekała jedyny w swoim rodzaju placek drożdżowy, który serwowano z kawą zbożową. Mama do końca swoich dni przywoływała w swej pamięci niezwykły smak tego placeka - dodaje.**

Tutaj rodziły się pierwsze miłości. Na spotkaniach coraz częściej pojawiała się młoda dziewczyna – Aniela. Edward zakochał się. Była to miłość młodzieńcza, pełna nadziei i pewna lepszego jutra. W romantycznej scenerii małego kościółka, młodzi przyrzekli sobie wierność do końca życia. **Niestety los zdecydował inaczej. Aniela, dziewczyna piękna, znalazła innego adoratora, znacznie lepiej sytuowanego aniżeli Edward. To był cios dla młodego chłopaka. Edward nie**

mógł jej tego wybaczyć. Nawet wówczas, kiedy rozumiała, że to on jest miłością jej życia.

Serce patrioty

Przed wojną Edward angażował się w życie społeczno – polityczne miasta. Działał w Stronnictwie Narodowym i nie ukrywał sympatii katolickich. Nie chciał biernie przyglądać się niemieckiej okupacji, postanowił działać. Wspólnie Teofilem Skrzypczakiem i Edwardem Stróżykiem zorganizowali siatkę oporu Narodowej Organizacji Wojskowej. Edward pracował wówczas w – przejętej przez Niemców - Wytwórni Win i Likierów Wawrzyńca Czajki. Praca ta dawała mu wiele możliwości, dzięki niej nawiązywał kontakty, które mógł później wykorzystać dla konspiracji. Zajmowali się kolportażem ulotek, prasy; przygotowywali paczki dla rodzin aresztowanych Polaków. **Wujek był człowiekiem skromnym, nie lubił chwalić się swoimi dokonaniem. Z tego, co opowiadała mama wiem, że niejednokrotnie jeździł rowerem po powiecie celem zebrania i przekazania cennych informacji. Parokrotnie udawał się do Lubinia, gdzie w tamtejszym klasztorze więzieni byli zakonnicy. Przywoził im pożywienie i wiadomości na temat sytuacji w kraju i innych frontach wojny - wspomina pani Aleksandra.**

Na trop narodowców trafiło Gestapo. Zadenuncjował ich Zenon Ciemniejewski z Poznania, agent zwerbowany przez tajną policję nazistowską. Miał pseudonim „Aleks”, był członkiem sztabu NOW w Poznaniu, odpowiadał między innymi za organizację komórek NOW w: Kościanie, Śremie, Gnieźnie, Kościanie, Lesznie. **Po latach od tych tragicznych wydarzeń rozmawiałam z Edwardem Stróżykiem. Powiedział mi, iż wujek od początku nie ufał poznańskiemu zwierzchnikowi. Zachowywał się wobec niego z rezerwą. Ciemniejewski jego zdaniem zadawał zbyt wiele pytań, nie był szczery – opowiada pani Aleksandra.**

16 października 1941 roku Edward Fabiańczyk aresztowano i przewieziono do Poznania. Tam w Forcie VII i w tzw. Domu Żołnierza przeszedł drogę przez mękę. Był torturowany, bity, przetrzymywany w nieludzkich wa-

runkach. Mimo tego nie dał się złamać. Wycieńczonego i schorowanego przewieziono do więzienia Gestapo przy ul. Młyńskiej. 21 sierpnia 1942 roku został ścięty na gilotynie. **Długo nie wiedziałam dlaczego w domu nikt co 21 sierpnia nie obchodzi moich urodzin. Jako dziecko nie ogarniałam sytuacji i nie potrafiłam powiązać faktów. Gdy byłam trochę starsza zrozumiałam, że jest to data bolesna dla całej mojej rodziny.**

W Rydzynie

Pierwsze wspomnienia z dzieciństwa, które pani Aleksandra przywołuje w swojej pamięci kojarzą się właśnie z wojną i okupacją. **Mieszkaliśmy wówczas w Rydzynie – opowiada. Było ciężko ale rodzice starali się jak mogli aby mi, mojej siostrze i bratu zapewnić normalne dzieciństwo, pomimo wojennej pożogi. Do dziś jestem im za to wdzięczna. Ojciec pani Aleksandry, Ignacy Szafranek był ogrodnikiem. Matka zajmowała się kwaciarstwem. W sierpniu 1939 roku kiedy ogłoszono powszechną mobilizację, Ignacy zgłosił się do wojska. Razem ze swoim pułkiem ruszył w kierunku Warszawy. Brał udział w walkach nad Bzurą, gdzie został ranny i dostał się do niewoli. Po wielu przejściach, udało mu się wrócić do żony i dzieci. Tam przeżyli okupację.**

Od wschodu nadciągali Rosjanie – oswoobodziciele. Jak bardzo wielu się myliło, miało się później okazać. **Pamiętam to jak dziś. Był środek nocy. Wszyscy spaliśmy, kiedy nagle zbudził nas ogromny hałas. Ktoś dobijał się do drzwi. Czerwonoarmiści. Z impetem wazyli drzwi. Płądrowali całe mieszkanie. Do dziś nie zapomniałam kolby karabinu nad moim łóżkiem. Nie wiedziałam co się dzieje. Byłam przerażona. Ignacy Szafranek znał nieco język rosyjski. Kazali mu się ubrać i poprowadzić się w kierunku Leszna. Skażu darogu - usłyszał tato. Mama nie rozumiejąc obcego języka była przekonana, że zabierają ojca do niewoli.**

W styczniu 1945 roku jeszcze wielu Rosjan przewinęło

► się przez rydzynski dom Szafranków. Pozostawiona sama z dziećmi Jadwiga umierała ze strachu. Do tego dochodziła niepewność o losy męża. Musiała jednak być silna. Dla dzieci. Nie wszyscy czerwonoarmiści zachowywali się jak najeźdźcy. Jeden z nich mówił po polsku. Uspokoił Jadwigę o los męża. Zapewniał, że mąż wróci do domu. Nad ranem Ignacy wrócił. Miał dużo szczęścia, walki między wycofującymi się oddziałami Niemców, a podążającą ich śladem Armią Czerwoną trwały. Naciągnęli kolejni Rosjanie. **Rozbili obóz w naszym domu, nas samych lokując na strychu. Było bardzo zimno, brakowało jedzenia. Na szczęście uda-**

ło nam się przetrwać – wspomina dziś pani Aleksandra. Rosjanie palili i rabowali. Wiele domów zostało zniszczonych i splądrowanych. Ograbiony i spalony do gołych murów został wówczas sławny barokowy zamek w Rydzynie.

Patefanowe „szpilki”

Tuż po wojnie Ignacy Szafranek dostał „prykaz” z Poznania, dotyczący likwidacji ogrodu w majątku rydzynskim. Był to duży i piękny ogród. Zarządzeniem nowych władz na jego miejsce powstała szkoła rolnicza. Zgodnie z nową polityką i filozofią marksistowsko-leninowską likwidowano prywatne majątki i gospodarstwa, na ich miej-

sce zakładając PGR-y i spółdzielnie ogrodnicze. Wówczas rodzina Szafranków przeniosła się do Oborzysk Starych, gdzie Ignacy znalazł pracę. Aleksandra ukończyła szkołę podstawową i średnią. W latach pięćdziesiątych podjęła pracę w Sądzie Powiatowym w Kościanie.

W 1962 roku wyszła za mąż za Jana Szukalskiego społecznika, pedagoga. Jan był nauczycielem w kościańskiej „czwórce”. Ale nade wszystko jego pasją było kino. Pracował w Zarządzie Kin w Poznaniu, prowadził zajęcia dydaktyczne w Zespole Szkół Fototechnicznych w Poznaniu oraz kursy z doskonalenia kinematografii. To on namówił panią Aleksandrę do zebrania i spisania losów rodzinnych: **Janek był człowiekiem niezwykle pogodnym i dowcipnym – wspomina pani Aleksandra. Tym mnie zauroczył. Musiał posunąć się do zmyślnego fortelu, aby zwrócić na siebie moją uwagę. Pewnego sylwestrowego wieczoru odwiedziła mnie kuzynka Ika, przyprowadziła ze sobą dwóch młodzieńców. Węsząc podstęp swatki strasznie się zdenerwowałam. Okazało się jednak, że obydwaj młodzieńcy byli niezwykle sympatyczni. Jednym z nich był Janek. Całą noc słuchaliśmy muzyki z patefonu. Janek przyniósł ze sobą „szpilki”, których oczywiście zapomniał zabrać z powrotem do domu. Tak więc był powód do następnego spotkania.**

Aleksandra Szukalska opublikowała przed laty na łamach „WK” cykl artykułów o historii swojej rodziny, wydała też drukiem książkę na ten temat. Po śmierci ukochanego męża Janka nie zapomniała o jego wskaźaniach. Jest na emeryturze, opiekuje się rodziną, ale wie – jak mało kto – że trzeba po sobie pozostawić trwały ślad. Napisała obszerny artykuł na temat zbrodni katyńskiej, który zamierza umieścić w Internecie. Teraz przygotowuje opracowanie na temat rodzinnych losów rydzynskich. Pani Olu – jesteśmy pewni, że te publikacje nie trafiają w próżnię, bo daje pani świadectwo prawdzie. Trzeba pisać, bo czas prawdę zaciera, a świadkowie tamtych wydarzeń odchodzą od nas w przerażającym tempie.

KATARZYNA ŻUREK



Aleksandra i Jan Szukalscy. Fot. (2x) ze zbiorów rodzinnych bohaterki tekstu.

Pod swastyką i sierpem

- Generał Bór-Komorowski wydał rozkaz, by żołnierze szli na pomoc walczącej stolicy. Mieliśmy broń, no to idziemy – zdecydowaliśmy. Pakowałem się, kiedy weszła matka. Ojciec w więzieniu, jej brat Roman Bereski w grobie, zginął pierwszego dnia w wielkiej bitwie legionistów z Rosjanami pod Jastkowem, a mnie smarkaczowi na Warszawę się zachciało – wspomina akowiec Stanisław Dochnal.

W II Rzeczypospolitej odzyskane Kresy Zachodnie wymagały zagospodarowania. Ojciec Stanisława, który był nauczycielem, trafił do Tczewa. Matka Jadwiga gdzieś na wschodzie kraju uczyła wiejskie dzieci, potem krótko zatrudniła się w urzędzie wojewódzkim w Toruniu. Rodzice Stanisława urodzili się w Przemysłu. Oboje ruszyli w świat i w tym świecie, dziś trudno dojść gdzie dokładnie spotkali się. Ślub brali w Tczewie. Tam 21 stycznia 1927 r. urodził się ich jedyny syn Stanisław.

Tczew w latach 30. ubiegłego wieku był małym, niemieckim miasteczkiem, z ponurymi, krzyżackimi kościołami. W nocy 1 września 1939 roku kolejarze w pobliskim Szymankowie udaremniły akcję niemieckiej V kolumny,

informując wojsko, które zniszczy mosty w Tczewie, odcinając Wehrmachtowi drogę w głąb kraju. Po tym jednym z najdłuższych mostów w kraju, kilkuletni Stanisław spaceruje z ojcem. Dochodzą do połowy i zawracają, za Wisłą rozciągają się nieprzyjazne Prusy Wschodnie, dwa kilometry od Tczewa, za stacją Pszczółki, zaczyna się teren Wolnego Miasta Gdańsk. Rodzina Dochnalów mieszka u Niemki, nie



Marian Dochnal, Delegat Rządu na Kraj, członek kierowniczej trójki „Rocha” na miasto i powiat Przemysł. Fot. arch. Stanisława Dochnala

hakatystki, która jednak wpada w czarną rozpacz, gdy córka zakocha się i wyjdzie za legionistę Jabłońskiego.

Cisza nad miastem

W Tczewie i okolicach ojciec Stanisława organizował szkoły średnie i zawodowe, w których także uczył. W II RP, niczym zawodowych wojskowych, nauczycieli przetrucano tam, gdzie było

zapotrzebowanie. Po kilku latach pracowicie spędzonych na Pomorzu, w roku 1933, Marianna Dochnala przeniesiono służbowo do Pleszewa w Wielkopolsce. Został dyrektorem Gimnazjum i Liceum Staszica. Rodzinie dobrze się powodziło. Stanisław ukończył szkołę powszechną, zdał do pierwszej klasy gimnazjum. Jednak wcale nie było mu do śmiechu, ojciec ostrą ręką kierował szkołą, a od syna wymagał więcej niż od innych. Niepotrzebnie się obawiał.

- W wakacje 1939 r. byliśmy na obozie harcerskim w Żerkowie. Obok nas biwakowały wielkopolskie pułki. Przytulili nas do siebie, zaoferowali wikt, składający się z grochówki z czarnym chlebem. Częstowali nas blokami

kawy z cukrem, którymi zajadaliśmy się jak cukierkami. Nagle, jednego dnia wojsko zwinęło się. Nas także wcześniej wysłano do domu. W mieszkaniach trwało gorączkowe zaklejanie szyb, my harcerze kopaliśmy rowy obronne. Jednego dnia gruchnęła wiadomość, że na wieży ewangelickiego kościoła policja znalazła skład broni. Pierwsze ogłoszenie mobilizacyjne zdarto ze

względu na protest Anglii. Wojna wisiała na włosku – opowiada Stanisław Dochnal z Poznania.

30 sierpnia z walizką i plecakiem Stanisław z matką wsiedli do pociągu. Przed wojenną zawieruchą uciekali w rodzinne strony do Przemysła. Marian Dochnal, który został w Pleszewie, żeby pilnować szkoły, dołączył do nich pod koniec września. Zamieszkali u siostry matki. Miasto było potężną austriacką twierdzą, ale poddało się bez walki. Nasi żołnierze zmęczeni, maszerowali w upale, niektórzy w hełmach, inni bez, część w płaszczach, część z plecakami wycofywali się w kierunku Lwowa. Stanowili przeciwieństwo niemieckiego wojska, które dwa dni po nich wkroczyło do miasta. Wypoczęci, w porządnym mundurach, tylko z karabinem i przypiętą menażką, od razu zaprezentowali pokaz siły. Na rynku zgromadzili zdobyczne wojenne; ciężkie karabiny maszynowe, hełmy, granatniki, maski przeciwgazowe. Ludzie stali i patrzyli w milczeniu. Szok i niedowierzanie. Był dopiero 15 września.

- Ledwo zaczęły się niemieckie porządki, 17 września poszła wiadomość, że idą Rosjanie. Może na pomoc – zastanawiali się jedni, pewnikiem Niemców będą bić – dowodzili inni. Niemcy nagle zniknęli, a weszli Sowieci. Czuło się, że oddali, że suną całą lawą. Na początku jechały tankietki, za nimi w długich, szarych szynelach ósemkami szła piechota. Potem artyleria, która mnie zaskoczyła, bo była lepsza niż niemiecka. Na końcu kawaleria z kaukaskimi szabłami. Przerazająca masa. Szli, szli i szli...

Mniej wiesz, mniej powiesz

Odtąd połowę Przemysła okupowali Niemcy, połowę zagarnęli Sowieci. Po wejściu Rosjan towar ze sklepów zaczął zniknąć, aż zostały same pustki. Ludziom doskwierał głód, brakowało pracy. Jedyne co było, to „siemioczki” – pestki słonecznika, które żołnierze jedli i pluli pestkami na chodniki. Po domach chodziły trójki, Ukrainiec, Żyd i rosyjski żołdat z bronią. Węszyli po kątach, rabowali, co się dało.

W listopadzie mieszkańcy Śląska, Pomorza i Wielkopolski w ciągu dwóch dni mieli możliwość przekroczenia granicy i przejścia pod niemiecką okupa-

cję. Rodzina Dochnalów zdecydowała się przejść na drugą stronę Przemysła na tzw. Zasanie, gdzie mieszkał dziadek ze strony ojca. Marian Dochnal niezadowolony i do skutku, z innymi nauczycielami, dążyli u Niemców sprawę uruchomienia szkół dla dzieci. W końcu otwarto dwuletnią szkołę kupiecką dla dzieci, które ukończyły szkołę powszechną. Uczyl w niej, równolegle prowadząc tajne komplety. Od początku stycznia 1940 r. przewodniczył Komisji Oświaty, Nauki i Kultury polskich władz podziemnych. Na szczeblu powiatowym był Delegatem Rządu na Kraj z ramienia ludowców, do których należał jeszcze w

Wielkopolsce oraz członkiem kierowniczej trójki „Rocha” na miasto i powiat Przemysł. W domu zawsze były różnego rodzaju podziemne biuletyny. Stanisław doliczył się jedenastu tytułów. Kiedy zapytał o nie ojca, ten odpowiedział: - Synu, im mniej wiesz, tym mniej powiesz. W domu starczy już jeden, a ty jeśli możesz, to się nie pchaj do tych spraw. Dopiero z książek i dokumentów dowiedział się, co ojciec robił w okupację.

Marian uczył w szkole kupieckiej aż do aresztowania 27 kwietnia 1944 r.

- Gestapo przyszło po niego do domu. Akurat wracałem z tajnych kompletów, uczyłem się polskiego u profesora Stanisława Jodłowskiego, późniejszego autora, z Witoldem Taszyckim, popularnego słownika ortograficznego. Już na półpiętrze zauważyłem, że coś jest nie tak. Mama

powiedziała: - Stasiu, biegaj do piekarni, bo trzeba kartkowy chleb odebrać. Odwróciłem się i wyszedłem. Za chwilę mama zrozpaczona przyszła do piekarni, którą prowadzili nasi znajomi. Ojca zabrali. Poszedłem do mieszkania oczyścić je z prasy podziemnej, bo spodziewaliśmy się, że jeszcze wrócą. Wtedy pracowałem w warsztatach szkoły rzemieślni-

czej. Po kilku tygodniach od nalotu gestapo, znajomy wpadł do warsztatu powiedzieć, że właśnie ojca wywożą. Pobieglem na stację. Zobaczyłem kilkunastu skutych więźniów, których pilnowali Ukraińcy pod nadzorem gestapowca. Prowadzono ich do pociągu do Krakowa. Potem dowiedziałem się, że trzymali go na Montelupich.

Latem po wejściu Rosjan do Przemysła stracili kontakt z ojcem. Nie wiedzieli, że zesłano go do obozu koncentracyjnego Gross-Rosen, następnie przerzucano do Northhausen i Dory. Był już bardzo słaby, kiedy 6 maja 1945 r. obóz w Ebensee wyswobodzili Amerykanie.



Trzech akowców. Od prawej: Stanisław Dochnal, Mieczysław Zlat, przyszły historyk sztuki, Bolesław Teluk, rozstrzelany w grudniu 1943 r.

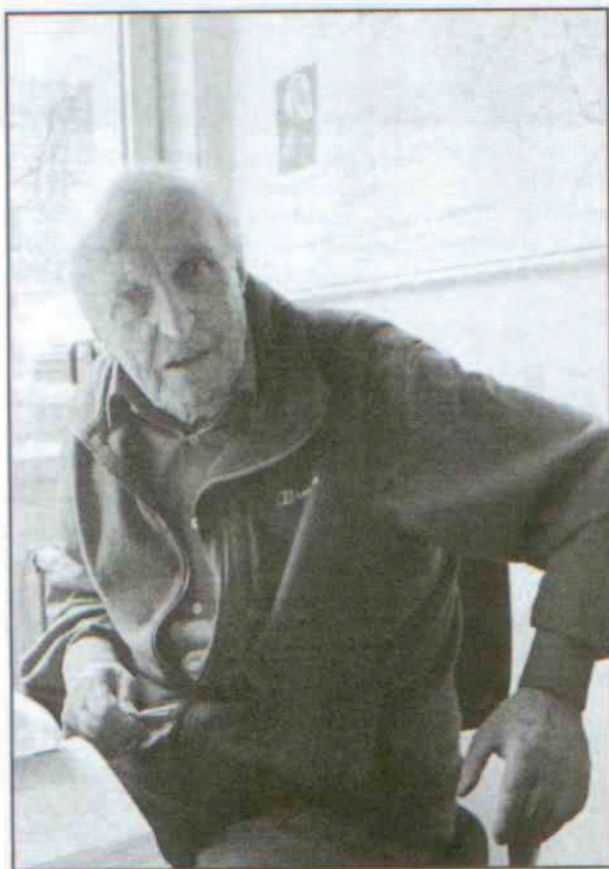
Fot. arch. Stanisława Dochnala

Synowi wspominał, że koniecznie chciał wyjść za bramę obozu, żeby poczuć się wolnym. Zdołał zrobić kilka kroków, i za bramą padł zemdlony.

„Lachy za San”

- Rodzinna tradycja patriotyczna była taka, że kiedy ojczyzna w potrzebie, należy działać. Generał Bór-Komorowski

wydał rozkaz, by żołnierze szli na pomoc walczącej stolicy. Mieliśmy broń, no to idziemy – zdecydowaliśmy. Pakowałem się, kiedy weszła matka. Spojrzała na mnie, ale nie powiedziała ani słowa. Tylko dała mi ryngraf na łańcuszku. Pocałowałem ją i wyszedłem. Żał mi się jej potem zrobiło. Ojciec w więzieniu, jej brat Roman Bereski w grobie, zginął pierwszego dnia w wielkiej bitwie legionistów z Rosjanami pod Jastkowem, a mnie smarkaczowi na Warszawę się zachciało. Młodzież potrafi być okrutna. Poszedłem na zbiórkę, ale rozkaz odwołano. Młodszy oficerowie się zbuntowali, że to nonsens. Podobno żaden akowski pułk, czy od-



Bohater artykułu w siedzibie ŚŻŻAK w Poznaniu
Fot. Teresa Masłowska

dział nie przebił się do stolicy.

W styczniu 1945 r. rozwiązano Armię Krajową. W okolicach Przemyśla Ukraińcy mordowali Polaków. Ukuli hasło „Lachy za San”, a tych, co się w porę nie wynieśli, zabijali. Wyrzynali sąsiadów, z którymi jeszcze nie tak dawno żyli w zgodzie, mąż zabił żonę Polkę. Rany obu stron do dzisiaj się nie zabiły.

- W święto Jordan (Objawienie Pańskie obchodzone 19 stycznia – dop. T.M.),

Ukraińcy święcą wodę nad rzekami, jeśli są skute lodem wykuwają przeręble w kształcie krzyża. Koło cerkwi stał kościół katolicki. Jak ludzie tego dnia wychodzili z kościoła, Ukraińcy ich łapali i ciągnęli do rzeki pod krę, tak samo jak w 1918 roku. Rzeź trwała do mojego wyjazdu około 1946/1947 r. Jak chodziliśmy na zabawy, to do domu wojsko polskie nas eskortowało. Jednej nocy wychodzimy, patrzymy, znowu Krasyczyn się pali, innej – znowu Ostrów płonie. A jeszcze zanim Niemcy uderzyli na wschód oglądałem pogrzeb Polski w Przemyślu. Ze wsi przyjechała banderia na koniach, ubrana w wyszy-

wane koszule oraz tłum z miasta. Wielki wóz ciągniony przez konie z popami z przodu i z tyłu. Na wozie trumna z kajdanami i cierniową koroną – symbole ich niewoli. Procesja szła na cmentarz cywilno-wojskowy, gdzie odprawiono symboliczny pogrzeb. Baliśmy się, że na tym się nie skończy, ale wtedy na tym się skończyło.

Hasło bez odzewu

Od listopada 1943 r. Stanisław Dochnał działał w konspiracji, kolportował podziemną prasę. Pewnego dnia profesor Wojas zapytał go o pseudonim, wtedy okazało się, że nie jest w AK. Zaprzysiężenie odbyło się uroczystie. Tak, jak trzeba z krzyżem, biblią i świecą. Młody akowiec z przejściem powtarzał słowa przysięgi. Przyjął pseudonim „Pomorzanin” i został skierowany do Biura Informacji i Propagandy, jako jeden z łączników prof. Wojasa. On nie wiedział o działalności konspiracyjnej ojca, a ten nie orientował się, że syn jest w AK. Pierwszym zadaniem było pozdzieranie niemieckich obwieszczeń, które były potrzebne do podziemnego archiwum.

dy akowiec z przejściem powtarzał słowa przysięgi. Przyjął pseudonim „Pomorzanin” i został skierowany do Biura Informacji i Propagandy, jako jeden z łączników prof. Wojasa. On nie wiedział o działalności konspiracyjnej ojca, a ten nie orientował się, że syn jest w AK. Pierwszym zadaniem było pozdzieranie niemieckich obwieszczeń, które były potrzebne do podziemnego archiwum.

- Zebrałem kilkanaście, chociaż miałem pietra, po nocy nie mogłem, bo godzina policyjna, za dnia byłem widoczny jak na dłoni. Jednak - przyklejone na zytnię mąkę - łatwo się odklejały. Drugie zadanie. Piórkiem i tuszem wyrysować sieć na pergaminie, zorientowałem się, że to były trasy przerzutowe meldunków. Raz dostałem rozkaz dostarczyć taki meldunek, paczkę wielkości dwóch pudełek zapalek, do Radymna. Ale miałem kartkowe pół litra i ktoś mnie podwiózł. Otrzymałem hasło, adres i opis człowieka. Miałem zapytać: - Czy obrazy z kwiatami są już gotowe? Odzew: nie ma z kwiatami, są z owocami. To była mała dziura, musiałem szybko zorientować się, gdzie to jest, żeby nie plątać się i nie zwracać uwagi. Wszedłem, pytam o obrazy, brak odpowiedzi. Powtórzyłem, znowu nic. Co robić? Drzwi otwierane do środka, chłop wyższy ode mnie. Ale uśmiechnął się i pyta, a profesora z bródką znasz? Ja nic. - Hasło musiało się zmienić, niech pan da ten meldunek, przekazuje go dalej. Co miałem robić. Oddałem. Zaprosił mnie do środka. Wtedy pierwszy raz od pięciu lat jadłem porządną przedwojenną obiad. Sznyceł, ziemniaki, kapusta. Jeszcze rosół. A potem leciałem 20 km z powrotem. Trochę byłem podszyty strachem, bo te tereny patrolowała UPA.

Latem 1944 r. na tych terenach byli już Sowieci. Na rozkaz dowódcy Stanisław zgłosił się do obywatelskiej policji. Z biało-czerwonymi opaskami patrolowali miasto, pilnowali porządku, bo po okolicy krążyły jeszcze niemieckie niedobitki. Następnego dnia mieli już konkurencję z czerwonymi opaskami. Na mieszkańców padł błąd strach, że miasto zostanie znowu podzielone, że na Sanie będzie granica.

- Jesienią 1944 r. mieliśmy wydawać pismo, komendant sobie życzył, żeby akowska młodzież wydawała własne pismo. Takie na jedną kartkę. Dostaliśmy prymitywny powielacz, ryżę papieru. Mieliśmy zabrać się do roboty, wymyślić tytuł, tematy pierwszych artykułów. Chyba zgodziliśmy się na tytuł Głos Młodych. Napisaliśmy tekst na rocznicę 11 listopada. Wydaliśmy dwa numery, a w styczniu Armia Krajowa przestała istnieć. 20 stycznia byłem u szefa, odczytał rozkaz o rozwiązaniu. Ale przecież działamy dalej – stwierdziłem. Odpowiedział mi: - Wy, młodzi - już nie.

TERESA MASŁOWSKA



Stanisław Czajka z wnukiem.

Fot. Katarzyna Żurek

„Byłem w Starobielsku...”

Urodził się w Barchlinie, a szkołę podstawową ukończył w Śmiglu. Ojciec – żołnierz armii pruskiej i powstaniec wielkopolski – mówił mu, że wojsko kształtuje charakter i umacnia siłę woli. Nie dziwi więc, że Staszek Czajka chciał być wojskowym, bo mundur to prestiż i symbol patriotyzmu. Mając ojcowskie „błogosławieństwo” w 1938 roku trafił do Szkoły Podoficerów Piechoty dla Młodoletnich w Śremie. Kiedy w sierpniu 1939 roku ogłoszono mobilizację kadetów ze Śremu wysłano do Złoczowa, przydzielono do 52 pułku piechoty – mieli bronić Lwowa.

Smak klęski

Oddział udał się w kierunku Buczacza. Tam 17 września 1939 roku zaskoczył ich radziecki „sojusznik”. Zostali okrążeni i zmuszeni do kapitulacji. Żołnierze oddali broń i puszczono ich wolno.

- Miałem przy sobie plecak wojskowy i chlebak, w nim menażkę i parę sucharów – wspomina Stanisław. – Plecak odebrali, a chlebak pozwolili zachować. Ta menażka ocaliła mnie od głodu i pozwoliła przetrwać ciężkie chwile.

Zagubieni polscy żołnierze błąkali się po okolicznych lasach. Grupa Stanisława starała się unikać głównych traktów w obawie przed nacjonalistami ukraińskimi, którzy

nie mieli litości. Widział zmasakrowane ciała, zdemolowane domostwa, spalone całe wsie.

- Nie ukrywam. Byłem młody, bałem się. Nie zdawałem sobie sprawy z tego jak wojna zmienia ludzi. Doskwierał nam głód. Miałem nadzieję, że to wszystko to zły sen. Ale – na szczęście – dobrych ludzi nie brakowało. W jednej z wiosek, kobieta nakarmiła nas ziemniakami i kwaśnym mlekiem. Po paru dniach dotarliśmy do Tarnopola...

Miasto było już we władaniu Armii Czerwonej. Stanowiło punkt zbiorczy. Stąd odchodziły pociągi pełne polskich żołnierzy. Dokąd? Nie wiedzieli. Gubili się w domysłach. Jednak w niewidomym dla nich kierun-

ku. Większość sądziła, że jadą do Lwowa. Gdy pociąg ruszył naszło go przecucie, że do Lwowa nie dojedzie, a po kilku godzinach zorientowali się, że zmiierzają w innym kierunku. Pociąg zatrzymał się na stacji Wołoczyska. Wysiedli z wagonów.

- Zobaczyłem, że jest nas wielu, ale nie tylko wojskowi. Byli też umundurowani polscy policjanci, leśnicy, strażnicy graniczni i celni. W Wołoczyskach bezcenna okazała się menażka. Rosjanie wydawali nareszcie pierwszy posiłek – zupę pomidorową. Nie mieli jednak naczyń. Żołnierze chwyтали się wszelkich sposobów - próbowali złapać trochę gorącej zupy w czapki, nawet w dłonie. A ja? Ja miałem swoją menażkę.

W sowieckim obozie

Pociąg ruszył. Wieziono ich w głąb Rosji. Minęli Kijów, Charków, o świcie znaleźli się w Starobielsku. To był jeden ze specjalnych obozów NKWD dla jeńców wojennych. Mieścił się w starym klasztorze. Stara cerkiew, baraki - wszystko otoczone miejscami murem i drutami kolczastymi.

- Byli na nas przygotowani. Kiedy wszedłem do baraku i zobaczyłem rzędy pryczy aż po sam sufit, przeraziłem się. Pomyślałem, że to jest zaplanowana i przemyślana akcja. Oni na nas czekali. Musieli przygotowywać się na to miesiącami...

Takie same odczucia miał przyjaciel Stanisława - Henryk Zalewski z Opatowa. To właśnie z nim nasz bohater przeżył najcięższe momenty w obozie. Zdecydowali, iż nie będą nocować w barakach. Panował tam straszny zaduch, tłok i rechwach. W powietrzu unosił się gęsty dym papierosowy. Żołnierze palili machorkę. Tani rosyjski tytoń zawi-

jali w grube stare, gazety. Mieli go sporo. Opowiadało, że w czasie działań wojennych rozbito fabrykę tytoniu w Monasterzyskach i wielu żołnierzy skorzystało z nadarzającej się okazji. Później, w obozie, tytoń ten okazał się bezcennym towarem.

Uciekając od dymu i gwaru, Stanisław i Henryk przygotowali sobie pośłania na powietrzu. Cerkiew miała zadane krużganki. Tam znaleźli dla siebie miejsce. „Leżanki” zbudowali ze starej tektury, wyłożyli słomą, którą udało im się wynieść z baraków. Pilnowali swojego miejsca. Gdy jeden krążył za jedzeniem bądź informacją, drugi nie ruszał się z niego.

Oprócz dotkliwego zimna i głodu, w Starobielsku wielu żołnierzy trapiły choroby - tyfus i gruźlica. Plagą były pchły, wszy i robactwo wszelkiej maści. Brakowało wody. Z jednej pompy korzystali wszyscy jeńcy. Ze słów pana Stanisława wynika, iż było ich ponad 3,5 tysiąca. Po pewnym czasie zaczęto organizować apele, na których wzywano polskich oficerów do ujawnienia się. Wielu z nich, myśląc iż trafi w lepsze warunki, zgłaszało się. Znikali i nikt nie wiedział co się z nimi dzieje. Niektórzy podawali się za szeregowców, NKWD rzadko dawało się na to nabrać. Oglądali dłonie - delikatne, niespracowane oznaczały wyrok.

Nastroje wśród żołnierzy były różne. Jedni wierzyli w to, że odzyskają wolność, inni obawiali się wywózki na Sybir.

- To były straszne chwile. Często całymi nocami, wspólnie z

biętą w obozie. Później dowiedziałem się, że to pilotka Janina Lewandowska. Ubrana w mundur i płaszcz wojskowy, na głowie miała pilotkę. Czasami przychodziła do obozowej pompy, aby się umyć. Przystojna, wysoka kobieta, o ciemnych blond włosach...

Janina Lewandowska - córka generała Józefa Dowbora Muśnickiego, naczelnego dowódcy Powstania Wielkopolskiego - to postać symboliczna. Jedyna kobiet wśród ofiar Katynia. Chciała być artystką, a została pilotem. Jako pierwsza Europejka skoczyła ze spadochronem z ponad pięciu tysięcy metrów. Zginęła od strzału w tył głowy 22 kwietnia 1940 roku w swoje 32. urodziny.

Dostępne nam źródła wskazują, że Lewandowska trafiła najpierw do obozu sowieckiego w Ostaszówce, skąd wywieziono ją do Kozłowskiej, a stamtąd droga wiodła wprost do dołów



Komunikat o zbrodni w Katyniu w poznańskich dziennikach niemieckim. Oryginał w zbiorach prywatnych J. Zielonki

Heniem płakaliśmy. Z zimna, z głodu, z bezsilności. Nie wiedziałem, że tak można traktować człowieka. Warunki były nieludzkie. Nie mieliśmy żadnych informacji z zewnątrz. Czuliśmy się zdradzeni i upokorzeni. Staraliśmy się wzajemnie podnosić na duchu.

Kobieta w mundurze

- Pewnego dnia pośród rzeszy żołnierzy zobaczyliśmy kobietę. Pamiętam to dokładnie, bo była jedyną ko-

śmierci w lesie katyńskim. Stanisław Czajka i jego współtowarzysze niedoli obozowej utrzymywali i utrzymują, że widzieli ją w Starobielsku. Warto, by historycy nad wojennymi losami kobiety - pilota pochylili się raz jeszcze.

W rękach Niemców

W listopadzie 1939 roku w obozie w Starobielsku nastąpił wzmożony ruch. Rozpoczęła się akcja wymiany jeńców. ➔

► Rosjanie przekazywali Niemcom polskich szeregowców i podoficerów rodem m.in. z Wielkopolski; Niemcy Rosjanom tych, którzy wywodzili się z terenów Polski wschodniej. Stanisław Czajka z przyjaciół w transporcie 1500 osób trafili nad rzekę Bug, gdzie czekali na nich wachmani z Wehrmachtu. Do domów ich nie zwolniono.

- Przewieziono nas do Radomia, skąd przy pomocy sanitariuszki Czerwonego Krzyża udało mi się wysłać kartę do rodziców w której informowałem, że żyję. Do dziś przechowuję ją. Dalej transportem przez Kielce, Katowice, Pragę dotarliśmy do Austrii. Umieszczono nas w obozie przejściowym w Keisersteinbruch. Kazano nam się rozebrać, ubrania złożyć w jedno miejsce. Woda lodowata, w namiotach zimno. Nie było jednak innego wyjścia. Przeżyliśmy odkazanie i po dwóch godzinach byliśmy „czyści”.

Do końca wojny Stanisław Czajka był przymusowym robotnikiem III Rzeszy. Najpierw – do kwietnia 1940 roku – budował autostradę pod Salzburgiem. Później – w Starej Rzeszy – pod Stuttgartem pracował ciężko w gospodarstwie rolnym Frau Burger, wdowy, która na dodatek straciła syna na froncie wschodnim.

- Miał na imię Peter czyli Piotr. Przyjechał kiedyś do matki na urlop. Przywiózł ze sobą grubą książkę niemiecką z ilustracjami. Z niej dowiedziałem się prawdy o Katyniu. Był w niej opis zbrodni, wykazywał nazwiska i fotografie. Jego śmierć wdowa Burger przeżywała strasznie – pozostała sama na tym świecie.

Po wojnie powrócił do Polski, do rodzinnego Barchlina. Wiedział, co stało się z polskimi oficerami. Początkowo mówił o tym, ale proboszcz z Bucza uświadomił mu czym to grozi.

- Wie pani – ciężko było o tym milczeć tak długo. Oczywiście, my polscy żołnierze, przekazywaliśmy prawdę o zbrodni katyńskiej z pokolenia na pokolenie w rodzinach i mieliśmy nadzieję, że nadejdzie taki czas kiedy prawda ta stanie się powszechną narodową własnością. Nie zawiedliśmy się.

KATARZYNA ŻUREK



Grodzisko w Czaczu

O grodziskach (1)

Do mało znanych, a licznych zabytków, znajdujących się na Ziemi Kościańskiej należą grodziska. Wędrując w okolicach Kościana spotykamy często, a szczególnie na terenach w pobliżu Obry charakterystyczne budowle o różnej wielkości i wysokości, to właśnie są grodziska. Starsi ludzie określali je często nazwą „okopy szwedzkie”. Zanim zostaną wymienione i opisane poszczególne grodziska, warto zapoznać się z ogólnymi wiadomościami o ich położeniu, okolicznościach i przyczynach budowy oraz ich późniejszym wykorzystaniu.

Jan Dylík, który przed II wojną światową badał te sprawy, pisze że „Istotą grodziska stanowi nasyp ziemny, wzniesiony dla obronności miejsca. Konstrukcja ziemna i charakter obronny, to cechy wyróżniające grodziska”. Z kolei inny uczony Władysław Kowalenko, stwierdza że „Gród jest formacją obronną, a jego elementy to wały i fosa”. Grodziska jako punkty oporu były często rozmieszczone wzdłuż granic państwa, a ich konkretne usytuowanie wynikało z otaczającego go środowiska przyrodniczego. Dla wzmocnienia ich obronnej roli wykorzystywano jeziora, rzeki, bagna, wzniesienia oraz urwiska. W wiekach X-XIII obrona państwa była oparta na organizacji grodowej. Grodziska były osadami stale zamieszkałymi lub miejscami, które służyły schronieniu okolicznej ludności, gdy zagrażał jej najeźdźca. Benon Miśkiewicz podkreślał, że gród był często miejscem przebywania władzy państwowej oraz drużyny wojów. Były jednak grody, które miały charakter wyłącznie militarny, a zwane były strażnicami pogranicznymi.

Wspomniana wcześniej nazwa „okopy szwedzkie” może wskazywać na to, że istotnie Szwedzi w trakcie wojen pro-

wadzonych w XVII i XVIII wieku mogli wykorzystywać niektóre grodziska dla celów wojskowych. Trudno dostępne, po ich uporządkowaniu, mogły stanowić miejsce pobytu wojsk. Omawiając sprawę grodzisk Jan Dylík pisze, że „Znane są grodziska w formie wałów zamykających wewnątrz pewną przestrzeń wglębioną, znajdującą się w poziomie terenu okolicznego lub lekko ponad nią wyniesioną. Istnieją też formy o wałach niezamkniętych, gdy jego część jest broniona przez warunki położenia topograficznego”. Budowane grody miały różne kształty: owalny, kolisty, trójkątny, prostokątny i nieregularny.

Historycy charakteryzują także grody pierścieniowe i stożkowe. Te pierwsze należą do najstarszych, gdyż były budowane już w czasach przedhistorycznych. Grodziska stożkowe charakteryzowane jako te „... których podstawę stanowi nasyp kopcowaty w formie ściętego stożka, często otoczonego fosą. Powierzchnia górna tych form bywa albo płaska, albo też mniej lub więcej zgłębiona”. Celem tych ostatnich fortyfikacji było osiągnięcie wysoko położonej linii obrony. Grodziska pierścieniowe szczególnie chętnie umiejscawiano wśród



Na pierwszym planie grodzisko w Przysiece Polskiej.

Fot (2x) Aleksander i Wojciech Szajek

bagien, co sprawiało, że kontakt z ludnością zamieszkałą w pobliżu, był utrudniony. Grodziska te mogły pomieścić dużą – na ówczesne czasy – liczbę osób wraz z inwentarzem i zapasami żywności. Grodziska stożkowe były położone najczęściej w pobliżu różnych przejść.

W 965 roku dziejopisarz Ibrahim ibn Jakub opisał budowę grodu. Początek budowy stanowiło usypanie okrągłego lub czworobocznego wału o zamierzonej wysokości z ziemi zebranej z zewnętrznego rowu. W miarę upływu lat rozpoczęto zamykać grody schronieniowe na rzecz umocnionych miejsc prywatnych na terenach leżących na zachód od Polski do IX w. przeważały grody schronieniowe, ale od X w. są wykorzystywane tylko sporadycznie. Cesarz Henryk I rozpoczął budowę stałych punktów oporu, w których przebywały załogi wraz z odpowiednimi zapasami żywności. Odległość otwartych osad od tych miejsc nie mogła przekraczać górzyni drogi.

W miarę powstawania i rozwoju naszego państwa, zaczęły w różny sposób zanikać grody należące do poszczególnych rodów bądź plemion. W okresie przedpaństwowym grody plemienne były budowane w miejscach trudno dostępnych, ale w momencie ukształtowania się państwa rozpoczęto ich budowę na terenach nadgranicznych, gdyż zabezpieczały przed najeźdźcami, a w okresie pokoju pomagały kontrolować szlaki handlowe.

Ibrahim ibn Jakub wspomina, że grody budowano na terenie podmokłym,

wśród bagien i łąk. Wykorzystywane były również wzniesienia odpowiednio wzmocnione konstrukcjami drewniano-ziemnymi. Rozwój tych konstrukcji miał miejsce szczególnie na przełomie IX i X wieku, tj. w okresie kształtowania się państwowości polskiej. Na te nowe umocnienia składały się fosy, zasięki, podwale i wały, które stanowiły zasadniczy element budowli. Ich szerokość wynosiła od 3 do 20 m, a wysokość od 4 do 12 m. Wały były budowane z drewna, ziemi, gliny, kamieni. Wały miały konstrukcję skrzyniową lub przekładkową, tj. gdy bierwiona były kładzione poprzecznie i równoległe do biegu wału. Wał był szerszy u podstawy, a węższy na górze, gdzie budowano czasem wieże obserwacyjne i obronne. Osady obronne w zależności od ich położenia były w całości lub w części otoczone wałem. Znajdujące się przed wałem fosy i zasięki miały za zadanie zatrzymać wroga i utrudnić mu podejście do wału.

W miarę jednoczenia się państwa polskiego następował od XIII wieku powolny rozpad organizacji grodowej, a wiązało się to m.in. z osłabieniem władzy kasztelańskiej. Kasztelani do połowy XII wieku byli reprezentantami księcia i z tego tytułu mieli na swoim terenie władzę wojskową, sądowniczą, a także organizowali pobieranie podatku. Obronę grodu zapewniała załoga wojskowa oraz mieszkańcy tych grodów. Stałe załogi wojskowe były liczniejsze w grodach nadgranicznych. W razie wojny naczelnicy wojskowi powoływali pod broń okoliczną ludność. Wojsko było wypo-

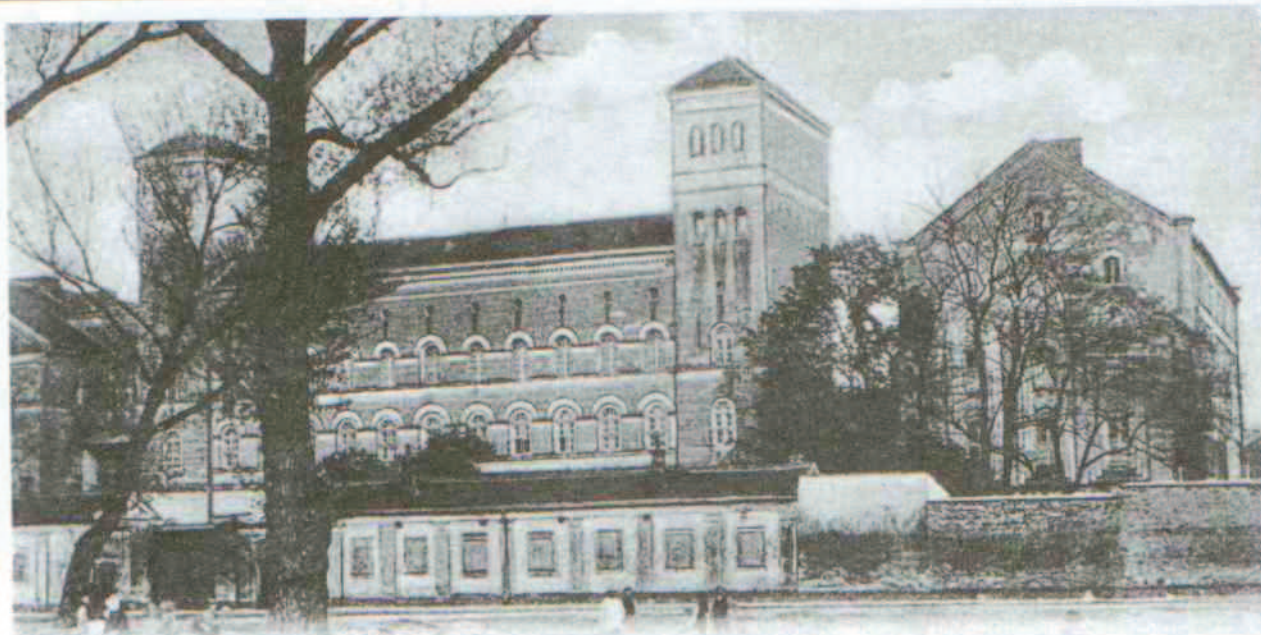
sażone w broń zaczepną, tj. włócznie, miecze, topory, łuki i kusze oraz broń obronna, tj. tarcze, hełmy i pancerze. Do uzbrojenia zaliczały się także różne maszyny wojenne, tj. ciężkie kusze oraz urządzenia miotające, działające na zasadzie dźwigni i przeciwwagi. Słabiej uzbrojeni byli mieszkańcy zobowiązani do walk obronnych. Punkty oporu musiały być dobrze zaopatrzone w żywność i wodę, aby zapewnić zaopatrzenie broniącym się i ludności, która tam się schroniła. Budowano tam m.in. zamknięte studnie.

Najczęściej stosowaną przez napastników metodą zdobywania grodzisk było zaskoczenie, często przy użyciu różnych forteli oraz nie przeciąganie oblężenia dłużej niż jeden dzień. Były jednak przypadki, gdy stosowano długotrwałe oblężenie mające zmusić głodem obleganych do poddania się do poddania się. Załoga grodziska broniła się nie tylko biernie, ale także aktywnie stosując wypadki przeciwko sile żywej nieprzyjaciela i jego wyposażeniu.

Systematyczne badanie grodzisk na terenie Wielkopolski rozpoczęło powstałe w 1840 roku Towarzystwo Zbieraczy Starożytności Krajowych, a kilka lat później przy udziale Wojciecha morawskiego prowadziło je a terenie powiatu kościańskiego. Od 1857 roku prace te kontynuowało Towarzystwo Przyjaciół Nauk. Po I wojnie światowej problematykę podjęło Polskie Towarzystwo Prehistoryczne, działające obok Komisji Archeologicznej Poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. (cdn)

JAN PAWICKI

Od redakcji. Namiętnym badaczem grodzisk był inicjator założenia i pierwszy prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Kościańskiej prof. Bolesław Iglowicz. Dosłownie schodził cały powiat. Opowiadał, że kiedyś szukał takiego obiektu pod Krzywiniem, spotkał w polu rolnika i spytał go: - Jak dojdę do grodziska? Chłop popukał się w czoło i opowiedział: - Panie, na piechotę nie dacie rady. Musicie wrócić do Kościana, tam złapiecie kolejkę do Grodziska i będziecie szybciej. Dodajmy, że autor tego tekstu mgr Jan Pawicki jest zięciem profesora Iglowicza.



Gruss aus Kosten
Gratka cie i. caruję. Stefan J. Wicksenjo
 Provinzial-Irren-Anstalt
Wroslaw

Verlag Toll Hroh, Kosten

Widok na dawny dom poprawy w Kościanie, zamieniony z kolei przez władze pruskie na zakład psychiatryczny.
 Ze zbiorów Muzeum Regionalnego im. dra med. Henryka Florkowskiego w Kościanie

Dom Przymusu i Poprawy w klasztorze

Pruski zaborca zlikwidował klasztor bernardynów w Kościanie, skonfiskował wszelkie dobra i majątek ruchomy. W obiektach poklasztornych, rozporządzeniem ministra spraw wewnętrznych i policji utworzono dom przymusu i poprawy. Protesty mieszkańców nie pomogły. 17 grudnia 1835 roku ministerstwo wydało w języku niemieckim i polskim „Regulamin dla domu przymusu i poprawy w Kościanie w W. Xięstwie Poznańskim”. Ponieważ sprawa mało znana, a obiegowe opinie sprzeczne z sobą, publikujemy w wersji polskiej fragmenty tego dokumentu w opracowaniu Teresy Masłowskiej. Zachowano pisownię oryginału.

„Ponieważ w prowincji Poznańskiej zbywało dotąd na instytucie, w którymby żebracy i włóczęgi przyzwicie umieszczani i do pożytecznych zatrudnień przynaglani być mogli, raczył N. Pan w Odprawie sejmowej dla W. Xięstwa Poznańskiego z dnia 14. lutego 1832. przekazać Stanom prowincji zniesiony klasztor bernardyński w Kościanie na urządzenie domu przymusu i poprawy, pod warunkiem iż powin-

cja kosztu urządzenia i utrzymania instytutu, równie jak kosztu alimentacji więźniów ponosić będzie. Dla instytutu tego, względem urządzenia którego zostały już potrzebne przedsięwziętymi środki, następujący regulamin, ułożony w skutek danego mi przez rzeczoną Najwyższą Odprawę sejmową upoważnienia, służyć będzie, do dalszych rozporządzeń, za zasadą we wszystkich okolicznościach administracyi instytutu dotyczących.

§. 1.

Instytut przymusu i poprawy w Kościanie przeznaczony jest dla całej prowincji Poznańskiej. Celem jego jest: mieszkanie w nim żebraków i włóczęgów, odejmowanie im sposobności być szkodliwymi i przyzwyczajanie ich do pracy połączonej z porządnym życia sposobem.

§. 2.

Instytut ten jest więc ściśle policyjnym instytutem, nie przeznaczonym do przyjmowania osądzonych przez wyrok zbrodniarzów, w ciągu czasu ich kary, wyjąwszy oznaczone w §. 3. osoby młodzieńczego wieku. Nie zmniejsza się także przez zaprowadzenie tego instytutu obowiązek gmin, korporacji i t.d. starania się o utrzymanie swoich ubogich pomocy potrzebujących, stosownie do prawnych postanowień.

§. 3.

Osoby mające być przyjmowanymi. Do instytutu mają być przyjmowanymi: Włóczęgi: zdolni do pracy włóczęgi, t.j. osoby, które, niemając pewnego miejsca zamieszkania, tułają się po kraju i przez żebranie lub sprawowanie niedozwolonych procederów, np. ciarlataneryi lekarskiej, olejkarstwa i t.d., lub przez sprawowanie nieupoważnionych procederów po kraju, np. kuglarstw, cieni chińskich, łątkarstw, skakania po linie i t.d. lub innym sposobem stają się ogółowi szkodliwymi.

Żebracy wstręt do roboty mający: osoby zdolne do pracy, mające w prowincyi Poznańskiej stałe zamieszkanie, skoro podług świadectwa którejkolwiek władzy przy żebraniu napotkane zostały. Jeżeli zresztą zdolność do pracy położona jest za warunek przyjęcia, to wszelako nie mają być wyłączeni od tego wszyscy ci, którzy nie znajdują się już więcej w zupełnem posiadaniu sił ciała do zarobienia sobie na chleb, owszem mają być przyjmowani także ci wszyscy, którzy są jeszcze zdolnymi do jakiegokolwiek pożytecznego zatrudnienia, przez które byliby mogli sobie przynajmniej na jedną część utrzymania swego zarabiać.

Osoby puszczane po odniesieniu kary (Sträflinge): osoby z prowincyi, które podług wyroku sądowego, po wysiedzeniu czasu kary, nie mają być zaraz puszczane na wolność, ale raczej mają być przytrzymane w instytucie, dopóki nie wykażą uczciwego sposobu do życia lub się nie poprawią, a które, z powodu braku miejsca w instytutach kar, do instytutu poprawy na dalsze przytrzymanie wskazane będą. Za takowe jednakże indywidua kassa instytutu poprawy dostosowne wynagrodzenie z funduszków publicznych odbierać będzie.

Zbrodniarze młodzieńczego wieku: prócz tego mają być przyjmowani do in-

stytutu także zbrodniarze w młodzieńczym wieku, to jest chłopcy aż do 15. roku życia i dziewczęta aż do 17. roku, na poprawę, a to albo za sądowym wyrokiem lub w skutek zezwolenia na to z strony właściwej Regencyi i prowincjonalnej władzy sądowej. Koszta utrzymywania takowych młodych zbrodniów, jak dalece sami lub ich należący nie są w stanie takowych ponieść, będą podobnie z skarbu publicznego bonifikowane.

Nakoniec mogą także ojcowie i opiekunowie posyłać swe dzieci i pupilów do instytutu, za złożeniem zezwolenia sądu opiekuńczego i wynagrodzeniem kosztów utrzymania i t.d.

§. 4.

Instytut urządzony jest tylko na 200 osób, na czem ogranicza się tymczasowo wykonanie połączonego z nim celu.

§. 5.

Niewolno nikogo odsyłać prędzej do instytutu, dopóki w przynależnym sposobie nie będzie rozstrzygniętem, iż się kwalifikuje do przyjęcia. Potrzebne w tej mierze dochodzenie celem rozstrzygnięcia tego punktu należy po miastach do władz policyjnych miejscowych, po wsiach do urzędów wójtowskich. Jeżeli zdaniem ich przyjęcie może nastąpić, podają protokoły z opinią swoją Radcy Ziemiańskiemu, który je roztrząsa i znajdując rzecz w porządku odesłanie osoby zarządza. W miastach Poznaniu i Bydgoszczy zarządza odesłanie władza miejscowa policyjna, bez wpływu Radcy Ziemiańskiego. Osoby, które już wytrzymały karę, dyrekcja instytutu karnego, a zbrodniarzy młodzieńczych właściwa władza sądowa bezpośrednio do instytutu odsyła.

§. 6.

Wszystkie władze policyjne, wszyscy gospodarze domów zajezdnych, furmani i zgoła każdy mieszkaniec prowincyi mają obowiązek starać się ile możności o przytrzymywanie się walęających się osób i oddawanie ich właściwym władzom.

§. 7.

Po miastach jak i po wsiach należy donosić władzom miejscowym o napotkanym włóczędze. Władze te powinny go kazać aresztować i albo same sprawdzić jego stosunki i jeżeli są Wójtowi podrzędne, jemu dalsze działanie zostawić.

§. 12.

Detencja (przytrzymanie). Uznawszy Rejencja odesłanie ujętej osoby do instytutu za słuszne, ustanawia czas detencji przez rezolut, który dla publikowania go teje przesyła dyrekcji. Przeciw temu rezolutowi dozwolony jest rekurs do Ministerstwa spraw wewnętrznych i policyi.

§. 13.

Osadzone w instytucie osoby traktowane będą przez czas swój detencji podług przepisów osobnego regulaminu instytutowego. Co miesiąc dyrekcja zdaje Regencyi sprawę o zachowaniu się osób na poprawę oddanych, i czyni zarazem wnioski względem wypuszczeniem kogo po upłynieniu ustanowionego czasu detencji, lub z szczególnych powodów przed ukończeniem tegoż.

§. 14.

Jeżeli Rejencja uzna, iż wypuszczenie może mieć miejsce, zawiadomia o tem dyrekcją. Ta robi z mającym być wypuszczonym obrachunek według bliższych postanowień regulaminu instytutowego, i zarządza co potrzeba względem jego wypuszczenia. Dyrektor powinien już niejaki czas przed wypuszczeniem wejść w korespondencją z władzą policyjną miejsca, w którym tenże spodziewa się znaleźć sposób do życia. Władza obowiązana jest, stosownie do jego deklaracji względem sposobu utrzymania się, obmyślić sposobność jego podmieszczenia w jakim zakładzie rzemieślniczym, lub w służbie lub jakkolwiek, albo przynajmniej wykazać sposobność zatrudnienia go jako robotnika. Jeżeli nie jest więcej zupełnie zdającym do pracy, trzeba wprzódy wysłuchać władzy miejsca, gdzie ma swych nalezących, lub gdzie gmina wspierania go ma obowiązek.

§. 15.

Zarząd instytutu. Instytut zostaje pod bezpośrednim Dyrektora kierunkiem. Zarząd powierzony jest Regencyi w Poznaniu, przy spółdziałaniu Kommissyi Stanowej w oznaczonych poniżej obrębach, i pod zwierzchnim Naczelnego Prezesa styrem.

§. 16.

Skład urzędników stanowią: Dyrektor, Inspektor ekono-

miczny, razem rendant, Aktuarusz i kancellista. Prócz tego ustanowić trzeba katolickiego i ewangelickiego księdza, lekarza, chirurga i katechistę (uczyciela katechizmu) czyli nauczyciela wyznania katolickiego. Funkcje księdza i lekarza mają być powierzone ustanowionym, już w Kościanie zdatnym osobom, jako poboczne urzędy.

Podoficjaliści, jako to: gospodarz, mistrz robotników, stróż nocny, furtjan i tyłu dozieraczów, ile ich każdo-czesna potrzeba wymagać będzie, ustanawiani będą na wypowiedzenie.

§. 21

Koszta pierwszego urządzenia instytutu opędzone będą, na wniosek Stanów Prowincjalnych, z przedaży darowanych prowincji przez najwyższy rozkaz gabinetowy z dnia 11. Stycznia 1828 budynków dyrekcji celnej w Fordonie, a reszta z funduszów departamentowych obodwóch obwodów regencyjnych Poznańskiego i Bydgoskiego, tak iż Departament Poznański złoży 4/5, Bydgoski 1/5 kosztów. W tym samym stosunku mają być koszta utrzymania instytutu przez prowincję ponoszone, składki na to podług dusz na resp. Powiaty i na wyłączone od administracji powiatowej miasta Poznań i Bydgoszcz, i w powiatach podług jednakowej zasady na pojedyncze gminy miejscowe (miasta, wsie i udzielne do żadnej gminy nienależące folwarki) rozkładane, subrepartycje zaś w gminach przez ich zwierzchników pod kierunkiem radców ziemiańskich sporządzane, przy-czem zostawia się gminom wybór pomiarki do tej subrepartycji, jak przy innych ciężarach komunalnych, za approbacją władz regencyjnych i resp. Ministerstwa spraw wewnętrznych.

§. 22

Fundusz instytutu ponosić będzie te tylko koszta, do których podjęcia nieznajduje się inny obowiązek. Azatem koszta sprowadzenia i utrzymania osób niemających w Prowincji miejsca zamieszkania, muszą być przez prawem do ich utrzymywania obowiązane osoby, korporacje lub gminy składane i do kasy instytutu wnoszone. Berlin, dnia 17. Grudnia 1835. Minister spraw wewnętrznych i policyi (-) W zastępstwie Köhler."

DOBRZE, ŻE W KOŚCIANIE JEST TEATR

1.

Że istnieje Kościański Teatr Kameralny, chwalić i cieszyć się należy, tak jak chwalić i cieszyć się należało, gdy istniał w Kościanie „Teatr 112”. Skoro zaś przestał istnieć „Teatr 112” a do istnienia powołany został Kościański Teatr Kameralny, przypuszczać można, iż ku temu były przyczyny najpierw wynikające ze statusu Janusza Dodota w kościańskiej kulturze, a następnie ze zmiany jego, Janusza Dodota, koncepcji funkcjonowania teatralnej instytucji w Kościanie, instytucji pozostającej stale realizacją tegoż autorskich zamysłów.

Adresat propozycji Teatru 112 musiał pogodzić się, że w Kościańskim Teatrze Kameralnym rzeczywistość realnie istniejąca uobecniata może być w formułach nie tylko złagodzonych, ale nawet – melancholijnej refleksji, że kontestacja ustąpi nieco miejsca namysłowi. Zaproszenia zaczęły być kierowane do kręgu odbiorców o oczekiwaniach w daleko mniejszym stopniu uwzględnianych w Teatrze 112. W ten sposób, jak rozumiem, nastąpiła próba otwarcia, próba znaczniejszego poszerzenia zainteresowania kościańskimi przedsięwzięciami teatralnymi.

W sezonie 2011/2012 miały miejsce premiery dwu spektakli bardzo różnych w charakterze, ale jednak w podobnej w Kościanie znajomej konwencji stylistycznej.

2.

Zygmunta Cichockiego obecność w pejzażu kościańskim. Tak właśnie należałoby werbalizować temat kameralnej multitworzywowej propozycji „Gdzie słyszysz muzykę, tam wchodzi”. Janusz Dodot serdecznie namawiając do wspominania autora i realizatora folklorystycznego „Wesela kościańskiego”, dyrygenta „Lutni” i „Arionu”, nauczyciela i twórcy hymnu LO im. Oskara Kolberga, owszem, przywiązu-

je dużą wagę do dokonań, jednak zdaje się sugerować, że tak naprawdę najistotniejsza dla Kościana była emanacja osobowości Twórcy. Wszelkie postaci żywej muzyki, żywego śpiewu to środki bardzo ważne, ale tylko(?) środki tworzenia i podtrzymywania radosnego dobra, pragnienia dobrego ludzi bycia ze sobą.

Za Zygmuntem Cichockim, zachęcając do smakowania, delektowania się chwilą przywołania czaru tradycji kościańskiej zabawy weselnej, niedaleko przeszłej zwyczajności kościańskiej pracy na co dzień i wspólnego po tej pracy odpoczynku, atmosfery prób i wykonań publicznych pieśni chóralnej, ale także – przypominając smak gorczy złych godzin, gorączkę gniewu i niezgodę na doby duszące kłamstwem i poddające próbie charaktery, Janusz Dodot użył przestrzeni tak, by uczestnicy wzięli udział w swoistej biesiadzie. Anielska biel przygotowań, uczta wspomnień ilustrowanych zdjęciami, wzbogacona pieśnią chóralną i poetycką i w chwili, gdy ma się rozpocząć właściwa ceremonia kościańskiego wesela, gdy dudziarze wkraczają za panną młodą, Chwila konsternacji! Nie ma pana młodego. Etiuda filmowa dopiero wyjaśnia, że pan młody czyni dobro muzyką w zupełnie innych przestrzeniach...

Przedsięwzięcie oczywiście nie spełnia wymagania godnego uczczenia pamięci Zygmunta Cichockiego, bo takiego wymagania nie ma spełniać. Janusz Dodot, lektorzy: Anita Dembińska-Pawlicka, Joanna Wesolek, Piotr Pawlicki, autor opracowania muzycznego – Krzysztof Wopiński, chór „Lutnia” pod dyrekcją Katarzyny Swinarskiej, wokalistka Katarzyna Węgierska, operator światła Mariusz Od-

ważny, łamiąc granice czasoprzestrzeni w sfery przeszłego i teraźniejszego Zygmunta Cichockiego muzycznego przebywania.

3.

W przedstawieniu „Święta, święta i po...” Janusz Dodot zaproponował specyficzne ujęcie tematu – nazywając rzecz pełnym imieniem – polskiego nałogu narodowego. Poprzez wykreowanie tragigroteskowej sytuacji rodzinnego świętowania wielkanocnego

nie wiktuałów, co jest bardzo trudne, bo nie ma pieniędzy. Wódę jednak ojciec wyczaruje zawsze. Wszak w święta ludzie się żenia, usiłuje witać czerstwym pieczywem córkę (której jak matce wiadomo nigdy nie miał) z imaginowanym w wódczanych oparach zięciem. Ostatecznie choć dom jest jakoś świątecznie ozdobiony i odświętne ubrania (fraki!), stworzone są okoliczności sprzyjające tańcom szczytowaniu frustracji się nie da. Dochodzi do zabójstwa żony i matki. Zagadkowo w tej rze-

grzyć odbiorcę w otchłani uruchamiającej instynkt samozachowawczy.

4.

Mam więc wszelakie przesłanki, by twierdzić, że Kościański Teatr Kameralny chce reagować na rzeczywistość stanowiącą bardzo bliski kontekst jego działania. Zamierzenie Janusza Dodota, podkreślam tutaj z powodów oczywistych – dyrektora Kościańskiego Ośrodka Kultury, to najwyraźniej – umocować treści prze-



Zadumany Janusz Dodot

Fot. Bogdan Ludowicz

nie tyle poszukuje odpowiedzi (przecież znanych niemal do oczywistości) na pytania alkoholizmu męża i ojca (Piotr Pawlicki), ale stawia problem zjawiska w kontekście kulturowym. Bo tak naprawdę, co właściwie ma być świętowane – nie wiadomo. „Święta są ładne”, twierdzi żona i matka (Aneta Dembińska-Pawlicka). Podczas świąt trzeba jeść: śniadanie, obiad. Trzeba jakoś rozmawiać z dzieckiem (Krzysztof Bajsztok), chociaż o dorosłym (prawie dorosłym?) nie ma się zielonego pojęcia. Okołoświątecznym zadaniem żony i matki jest posprzątanie i wyczarowa-

czywistości funkcjonuje świadek (Janusz Dodot). Jest to obecność pozbawiona wpływu na bieg zdarzeń, przy ograniczonym pomocnictwie w działaniach postaci. Technie tajemniczością budzącą skojarzenia z teatralnym kreowaniem Tadeusza Kantora, a więc – o proveniencji zgoła metafizycznej.

Poszczególne sytuacje, zmieniające się wraz z fortepianowym brzmieniem melodii ludowych wielkanocnych pieśni religijnych (opracowanie muzyczne Piotr Filipowicz), zalewają goryczą, potęgowaną takim operowaniem światła (operator – Mariusz Odważny), by po-

kazu teatralnego w najważniejszych dla kościańskiej społeczności motywach oraz – odwrotnie – z tych motywów jak najobficiej czerpać.

Nie o misję czy inne posłannictwa tu idzie. Z Januszem Dodotem zgadzam się co do nieufności wobec wielkich słów. Idzie jednak tutaj o rzecz arcyważną o uczestniczenie w życiu Kościana podmiotu artystycznego, występującego z propozycjami w szerokim zakresie ważnymi treściowo, pobudzającego mentalnie i estetycznie.

TADEUSZ HOFMAŃSKI



Marian Koszewski w kościańskim Muzeum Regionalnym. Fot. Bogdan Ludowicz

Zapiski kościańskiego regionalisty (1)

Marian Koszewski, wybitny regionalista, patron Szkoły Podstawowej nr 4 i Gimnazjum nr 4 w Kościanie życie poświęcił badaniu i popularyzowaniu dziejów Ziemi Kościańskiej. Zmarł 16 października 2006 roku. Pozostały po nim nie tylko liczne publikacje, ale także stosy notatek, które gromadził, a których – niestety – nie zdążył wykorzystać. W latach 1999 – 2000 Marian z przyjaciółmi z Instytutu im. Generała Stefana „Grotę” Roweckiego z Leszna prowadził kwerendę prasy w Bibliotece Uniwersyteckiej w Poznaniu. Notatki z „Gazety Polskiej”, rocznik 1929, wraz z jego uwagami stanowią treść tego artykułu. Podane w śródtytułach daty określają dzień ukazania się gazety.

3 stycznia 1929r.

Kościan. Z okazji obchodów Gwiazdki i 10-lecia Niepodległości odbyła się 30 grudnia 1928 roku wieczornica Katolickiego Stowarzyszenia Młodych Polek w Kościanie. Uroczystość zagała druha wiceprezes Seweryna Zborowska. Mowę wygłosił ksiądz patron Stróżyński. Wystawiono jednoaktówkę „Perły Najświętszej Maryi Panny”. Tyle tematów opisaliśmy, natomiast nie posiadamy w Kościanie opracowań dotyczących polskich organizacji katolickich w XIX i XX wieku. Być może kiedyś znajdzie się u nas młody duchowny, taki jak kiedyś ks. dr. Jan Gierliński – proboszcz w Krzywiniu, który za punkt honoru przyjmie sobie badanie i

opisanie historii m.in. katolickich stowarzyszeń młodzieżowych.

23 stycznia

Kościan. Liga Katolicka parafii kościańskiej urzęduje w niedzielę 27 stycznia br. o godz. 4.30 po południu zebranie, na którym będzie odczyt pt. „Katolicyzm a nasze odrodzenie narodowe”. Odczyt przedstawiła pani Helakówna. Tekst odczytu wydrukowano w „Gazecie Polskiej” nr 27 z 1 lutego 1929 roku.

25 stycznia

Kościan. Wczoraj, na zebraniu Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” w Kościanie, które odbyło się w Hotelu „Victoria” nadano tytuły członków honorowych następującym druhom: Hipolit Brzeziński, Władysław Elman, Leon Kaniewski, Franciszek Olek,

Leon Soborski, Hieronim Stefanowicz, Józef Tomyślak, Jan Urbański, Kasper Zwieja. Na wniosek druha Marcina Dónaja walne zebranie mianowało jeszcze dziesiątego członka honorowego – druha Feliksa Makowskiego, który przed dziesięcioma laty zawiesił polską chorągiew na ratuszu, zanim zapadła uchwała Rady Żołnierskiej.

12 lutego

Kościan. Na posiedzeniu Rady Miejskiej 11 II uchwalono emeryturę dla matki ś.p. Burmistrza Koszewskiego. Pani Koszewska wyjechała na trwały pobyt do Ostrowa, do córki p. Bartkiewiczowej.

13 lutego

Śmigiel. 18 stycznia w salce Świętego Ducha odbyło się roczne walne zebranie Stowarzyszenia Młodych Polek „Promień” w obecności księdza wicepatrona Kutznera, pań opiekunek i członków rady opiekuńczej. W zebraniu uczestniczyło 50 druhen. Zagała je druha prezeska Matuszewska. Wybrano nowy zarząd: prezeska – Maria Józefiakówna, wiceprezeska – Leokadia Cichoszewska, sekretarz – Irena Łuczowska, skarbniczka – Wanda Nadolna, naczelniczka – Wiktoria Pelcowa, zastępczyni naczelniczki – Zofia Górecka, bibliotekarka – Zofia Grząślewiczówna. Ksiądz Leon Kutner urodził się 8 sierpnia 1877 roku w Poladowie koło Śmigla; święcenia kapłańskie otrzymał 1 grudnia 1902 roku. W chwili wybuchu II wojny światowej był proboszczem parafii w Wyskoci; aresztowany przez gestapo, osadzony w obozie koncentracyjnym w Dachau, wywieziony w transporcie inwalidów z 18 maja 1942 roku i zagazowany.

27 lutego

Kościan. W niedzielę 3 marca o godz. 6-tej po południu Liga Katolicka w Kościanie urzęduje w hotelu Victoria uroczystą akademią dla uczczenia złotych godów kapłańskich Ojca Św. Piusa XI. W programie m.in.: kompozycja ks. dra Gieburowskiego „Tu es Petrus” w wykonaniu chóru kościelnego pod batutą Stanisława Wojciechowskiego; słowo wstępne ks. proboszcza Stanisława Bednarkiewicza; deklamacje uczniów gimnazjum i szkoły powszechnej; wykład okolicznościowy pana Romana Fischbacha; kompozycja ks. dra Surzyńskiego pt. „Kantata ku czci Ojca Świętego w wykonaniu chóru

męskiego „Arion” pod batutą pana dyrygenta Wojciechowskiego. *Ksiądz Stanisław Bednarkiewicz urodził się 7 maja 1879 roku w Ziminie koło Środy Wielkopolskiej; święcenia kapłańskie przyjął 2 kwietnia 1905 roku; długoletni proboszcz w Kościanie, jeden z inicjatorów budowy nowego gmachu gimnazjum; aresztowany przez gestapo, osadzony w obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie zmarł 9 grudnia 1941 roku.*

2 marca

Kościan. Srebrny Krzyż Zasługi został nadany panu Janowi Roweckiemu – sekretarzowi powiatowemu Wielkopolskiego Towarzystwa Kółek Rolniczych w Kościanie i panu Leonowi Mockowi – rolnikowi z Kielczewa – za pracę nad podniesieniem drobnego rolnictwa. Wręczenie nastąpi 10 marca na Zamku w Warszawie w obecności Prezydenta.

7 marca

Racot. Pałac Prezydenta Rzeczypospolitej w Racocie ma być oddany na szkołę rolniczą. Meble znajdujące się tam będą przeniesione do Zamku w Poznaniu. *Ta informacja mnie zaskoczyła. Wiadomo było, że 1 listopada 1928 roku utworzono w Racocie Państwową Stadninę Koni i to tej placówce oddano prezydencką rezydencję. Więcej szczegółów znalazłem w prasie poznańskiej. Rzeczywiście w racockim pałacu zamierzano uruchomić szkołę rolniczą o specjalności hodowla koni, ale ówczesne Ministerstwo Rolnictwa uznało ostatecznie w połowie 1929 roku, że nie da się pogodzić zadań stadniny ze szkołą i od zamiaru odstąpiono. Meble pałacowe pozostały w Racocie.*

19 marca

Wielichowo. Ksiądz proboszcz Górski z Wielichowa został uhonorowany Srebrnym Krzyżem Zasługi za podniesienie drobnego rolnictwa. *Ksiądz Ludwik Górski, proboszcz w Wielichowie, urodził się 5 sierpnia 1876 roku w Ars koło Metz, święcenia kapłańskie przyjął 25 listopada 1900 roku. Był m.in. prezesem rady nadzorczej Banku Ludowego i Mleczarni Spółdzielczej w Wielichowie. Aresztowany przez gestapo, osadzony w obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie zmarł 6 marca 1942 roku.*

3 kwietnia

Kościan. 2 kwietnia Rada Miejska dokonała ponownie wyboru burmistrza

miasta. Na posiedzenie stawili się wszyscy radni. Przewodniczył Stefan Soborski. Po załatwieniu kilku bieżących spraw przystąpiono do głosowania. Oddano 18 ważnych głosów, z których 14 padło na asesora wojewódzkiego pana Edmunda Maćkowiaka z Poznania, a 4 na burmistrza Witkova pana Neumanna. Poza głównym porządkiem obrad zatwierdzono układ między Magistratem, a dzierżawcą restauracji w Parku Miejskim panem Migdałkiem w sprawie budowy nowej kręgielni. Miasto daje część drewna, a pan Migdałek pobuduje kręgielnię na swój koszt, co później odliczać się będzie od dzierżawy. *Edmund Maćkowiak urodził się 9 listopada 1887 roku w Poznaniu; z Kościana 18 grudnia 1936 roku awansował na stanowisko prezydenta miasta Gniezna; aresztowany przez gestapo i osadzony w obozie koncentracyjnym Auschwitz, gdzie zmarł 6 czerwca 1942 roku.*

12 kwietnia

Kościan. Nekrolog. Dnia 11 kwietnia o 6.30 wieczorem zasnęła w Bogu, nie mogąc przeboleć utraty najdroższego syna swego, opatrzona kilkakrotnie Sakramentami św. nasza dobra, ukochana matka i teściowa, najlepsza i najtroskliwsza babka i prababka śp. Tekla Koszewska – matka śp. Burmistrza miasta Kościana, przeżywszy 84 lata. Pogrzeb odbędzie się w Ostrowie w niedzielę 14 bm o 4 po południu; nazajutrz msza św. o godz. 8-ej. O modlitwę za duszę drogiej Zmarłej proszą rodziny Bartkiewiczów i Mieżyńskich. Ostrów – Krempa, 12 IV 1929 r. *Burmistrz Stanisław Koszewski zmarł w Kościanie 4 grudnia 1928 roku w wieku 62 lat. Był kawalerem, a w Kościanie mieszkał z matką, która po jego śmierci przeniosła się do rodziny w Ostrowie. Grób burmistrza znajduje się na Starym Cmentarzu Katolickim w Kościanie.*

15 kwietnia

Rąbiń. W tych dniach przybędą do kraju śmiertelne szczątki Joanny Grudzińskiej, księżnej łowickiej – żony Wielkiego Xięcia Konstantego, wielkorządcy carskiego z okresu przed powstaniem 1831 roku. Bolszewicy – jak wiadomo – zamieniają kaplicę w Carskim Siole na kino i wyrzucają złożone tam zwłoki rodziny carskiej. Dzięki staraniom Konsulatu Polskiego w Leningradzie i najbliższej rodziny udało

się uzyskać pozwolenie na przeniesienie zwłok księżnej łowickiej do kraju, gdzie spoczną w grobach rodzinnych Chłapowskich w Rąbinu w powiecie kościańskim. *Księżna łowicka była siostrą Antoniny Grudzińskiej - żony generała Dezyderego Chłapowskiego; tak więc generał Chłapowski był szwagrem Wielkiego Księcia.*

6 maja

Kościan. 5 maja odbyło się walne zebranie Ligi Katolickiej Parafialnej. Zagał je pan dyrektor Roman Fischbach i wspominał o zmarłym sekretarzu Ligi Katolickiej śp. Stanisławie Koniecznym. Przewodniczył ks. proboszcz Bednarkiewicz. Liga Katolicka Parafialna w Kościanie liczy 3000 członków i ma w kasie przeszło 600 złotych. Jednocześnie wybrano stary zarząd na nową kadencję, i tak: dyrektor Fischbach – prezes, ksiądz mansonarz Koppe – zastępca prezesa, pani Urbanowa – sekretarka, pan Jan Gątownski – skarbnik oraz ławnicy: Stanisława Wytyk, Biernacka, Furmanek, Trzybiński, Bresiński, Śniegocki. Do komisji rewizyjnej weszli p.p. Paździor i St. Wdowicki. Ksiądz Berek przedstawił wykład o ustawodawstwie małżeńskim; podjęto rezolucję o nierozzerwalności małżeństwa, przeciw próbom wprowadzenia nowych ustaw. *Roman Fischbach był dyrektorem Szkoły dla Głuchoniemych w Kościanie, która znajdowała się na terenie Krajowego Zakładu Psychiatrycznego. Ksiądz Henryk Koppe urodził się 16 grudnia 1892 roku w Poznaniu; święcenia kapłańskie otrzymał 11 marca 1922 roku, był wikariuszem w Kościanie, uczył religii w szkołach, w chwili wybuchu II wojny światowej - proboszczem w Puszczykowie; aresztowany przez gestapo i osadzony w obozie koncentracyjnym w Buchenwaldzie, później w Dachau, gdzie zmarł 1 września 1942 roku. Ks. Antoni Berek urodził się 8 stycznia 1891 roku w Perzycach, święcenia kapłańskie otrzymał 13 lutego 1916 roku; był prefektem w kościańskim gimnazjum; aresztowany przez gestapo i osadzony w obozie koncentracyjnym w Dachau, gdzie zmarł 2 maja 1942 roku.(cdn)*

MARIAN KOSZEWSKI



Autorka opracowania z dyrektorem Zespołu Szkół nr 4 w Kościanie Leszkiem Michalczakiem.
Fot. Katarzyna Żurek

Okruchy wojennej pamięci (I)

Pracę magisterską dedykuję mojej prababci Marii Rajch w podziękowaniu za świadectwo prawdy - pamiętnik z czasów wojny i okupacji, który stał się dla mnie inspiracją do podjęcia tematu trudnego, ale słusznego i potrzebnego przede wszystkim ludziom młodym *.

Sąsiedzi

Józef Majchrzak doskonale pamiętał rok 1933 i pierwszą przemowę jeszcze kanclerza Hitlera skierowaną do narodu niemieckiego. Gwarantował on swoim rodakom pracę i chleb. Majchrzak siedział wtedy razem z Kozakiem w mieszkaniu tego drugiego, który wówczas nie przeczuwał, iż ten głos wybrzmiewający z głośnika będzie odpowiedzialny za jego śmierć. Kozak został zastrzelony przez gestapo w Mosinie.

Piekielny... jad faszyzmu wgrzyzał się z jego wszystkimi konsekwencjami w każdą komórkę mózgu Niemca kościańskiego (Józef Majchrzak z Kościana).

Hanz Bucholz ze stanowiska pracownika banku niemieckiego awansował do roli nauczyciela kształcącego niemieckie dzieci. Miał nie lada misję do wykonania, gdyż wpajał swoim wychowankom... nienawiść

do Polaków. W późniejszym czasie dopiero ujawnił się, z dumą nosząc mundur SS. Miejscowym Niemcom żyło się z każdym dniem coraz lepiej (...)

Kolejnym mieszkańcem, który poprawił swój stan majątkowy był Willi Zugehör – bezrobotny do 1934r., kiedy to otrzymał pracę w jednym z niemieckich dobrze prosperujących przedsiębiorstw... „Willi żył jak pączek w maśle.” Schludne ubranie, teczka pełna tajemniczych papierów, wyścigi konne na Ławicy i kobiety – taki obraz tamtejszego wyrostka kreuje się we wspomnieniach Majchrzaka z 1934 roku. Już jako palacz, ale co ważniejsze oficer SS, mógł nazwać kolegów „głupimi Polaczkami”... Zatem krótka była droga do wielkiej kariery (...)

W spokojne życie mieszkańców Ziemi Kościańskiej wkradał się z dnia na dzień coraz większy niepokój, dlatego najmłodszy beztroskiego dzieciństwa nie zaznali. Nerwowa atmosfera potęgowała grozę oczekiwania na najgor-

sze. Zewsząd dochodziły głosy zwiastujące nieuchronnie zbliżającą się wojnę. Pisano w gazetach, mówiono przez radio, słuchano krzyczącego Hitlera, a w szkole: mierzono czas, jakiego każde z dzieci potrzebuje na dobiegnięcie do domu, a potem uczono nas, w jakiej kolejności wybiegać z klasy w razie bombardowań (ks. Stefan Naskręt z Kościana).

Nieco inaczej o szkole mówił Czesław Wenski. Według niego nauka przebiegała całkiem normalnie. Zbiórki harcerskie odbywały się regularnie i intensywnie. Ćwiczenia praktyczne dotyczyły obsługi urządzeń sanitarnych i obrony przeciwlotniczej, natomiast podczas zajęć teoretycznych omawiano zagadnienia historyczne. Druhem sprawującym opiekę nad Czesławem był Mieczysław Bartkowiak, który informował również o sprawach obronnych kraju. Chłopiec doczekał się wakacji i zasłużonego odpoczynku. Pożegnał się z kolegami zakładając, że spotka ich po letniej przerwie. Wówczas Czesław nie przypuszczał, iż z niektórymi zagna się na zawsze, że nie wróci już do szkoły, w której będzie mógł uczyć się prawdziwej historii, czy geografii. Zapewne nie wiedział też z jaką świadomością i zamierzeniem były przeprowadzane ćwiczenia harcerskie.

Ojczyzna woła

Równie beztroski okres wakacji nastąpił w czerwcu 1939r. dla Stanisława Rajcha. Jako dziewięcioletni chłopiec spędzał mnóstwo czasu na zabawach z kolegami, nie przypuszczając, co go wkrótce czeka, mimo lęku i obaw rodziców, którzy niejednokrotnie rozmawiali na temat zbliżającej się grozy. Wiedzieli bowiem, czego należy się bać, gdyż jedną wojnę już przeżyli. Były to ostatnie beztroskie wakacje małego Stasia. Wkrótce musiał dojrzeć, gdyż mobilizacja, a następnie wojna odebrały jemu, jak i wielu innym, dzieciństwo.

Nie tylko w pamięci dzieci, ale również i dorosłych ostatnie chwile wolności zostały zapisane dość szczegółnie:

...teraz trochę z realnego życia – powszechna mobilizacja – mobilizacja... mobil... mobil... Miasto. Kościan wre (...) W chwili gdy wróg odwieczny, nienasycony wilk germański, ostrzy sobie zęby na polskie ziemie, nie ma

partii, organizacji, jeden jest Naród, jeden Wódz i jeden jest krzyk „Nie damy”. Germański wilk potępi zęby sobie na polskich drogach, które są tylko dobre, tylko dla Polaków... (Edmund Rajewski z Kościana)

Czas jakże krótkiej, aczkolwiek wspa- niałej wolności dobiegł znów końca. Skończyły się dni szczęścia, miłości, dzieciństwa, młodości, spokojnej sta- rości, dni szare, zwykłe, a jednocześnie wyjątkowe i jakże niezwykle. Skończy- ło się polskie życie i wolność. Troski zamieniono na dramat codziennego bycia, czasem przeżycia. Dla mieszkań- ców całej Ziemi Kościańskiej prioryte- tem stało się zabezpieczenie, przygo- towanie w miarę możliwości na ewen- tualny, przeczuwany atak. W drugiej połowie sierpnia ogłoszono mobiliza- cję (...) Koszewski nie zastanawiał się ani chwili – zgłosił się jako ochotnik na apel. Choć brzmi to dość niewiary- godnie – jeszcze w piątek 1 września pod dowództwem Batalionu Obrony Narodowej „Kościan”, kopał rowy wraz z kilkuset innymi ludźmi, nie wie- dząc, że wybuchła wojna.

Niebawem zmienił się wygląd ze- wnętrny Kościana. W oknach pojawia- ły się papierowe pasy, a w murach prze- świty dla żołnierzy przemieszczających się między budynkami. Zaminowano mosty, przy których wartę pełnili żoł- nierze. Reakcje ludzi na wieść o mobili- zacji były nerwowe. Wielu z nich pa- miętało grozę pierwszej wojny świato- wej, toteż w poplochu starali zabezpie- czyć się w najpotrzebniejsze artykuły (...) Z regałów w sklepach zniknęła dłu- goterminowa żywność, a z banków pie- niądze zdeponowane na książeczkach oszczędnościowych. Kupowano rów- nież bieliznę, odzież, a także materiały na opał i naftę. Szyto maski przeciwwa- zowe, mające specjalne otwory na oczy wykonane z błony fotograficznej.

Wszystkie te starania okazały się być niewystarczające. Jakże naiwnym stało się przekonanie o możliwości wy- grania wrześniowej wojny z Niemca- mi:

Ojczyzna woła wszystkich, „Ojczy- zna w niebezpieczeństwie”, nasza wspólna Matka Polska schyla swą gło- wę, znów dla niej zginie tyłu żołnierzy (...) deszcz pada... krople... ściekają... to te łzy skryte wylane przez matki, zony, łzy niektórych żołnierzy... lecz w hart ducha się obleczmy i spokojni

czekajmy na wyrok Opatrzności (Ed- mund Rajewski z Kościana).

Tego typu myśli na przemian z nie- co ospałym niedowierzaniem plątały się w głowach ludności cywilnej. Trud- no zresztą się temu dziwić. Zawarty za- równo z Niemcami, jak i z ZSRR pakt o nieagresji, miał być gwarancją bezpie- czeństwa. Podświadomie Polacy бага- telizowali zagrożenie ze strony sąsia- dów. Czujność została uspijona, dlate- go tak wielkim zaskoczeniem dla nas była napaść, 1 września 1939 roku, hi- tlerowskich Niemiec na Polskę bez wy- powiedzenia wojny.

Dzień pierwszy

Trudny był do zaakceptowania wi- dok, kiedy wiejską drogą swobodnie jechał żołnierz hitlerowski. Eugeniusz Wachowiak wspomina, że Kościan znalazł się pod okupacją bez jakiego- kolwiek strzału, faktycznej napaści – mieszkańcy wcale o tym nie wiedzieli.

Niemcy dotarli do Kościana wieczo- rem, około godziny dwudziestej – 7 wrze- śnia 1939r. Ulicami Kościana i Kielczewa przejechał patrol niemiecki – kilka moto- cykli z przyczepami. Żołnierze mieli ze sobą karabiny przygotowane do strza- łu. Tę obserwację z ukrycia prowadziła Felicja Korbik-Szymanowska wraz z ro- dzicami. Jak wspomina – nie przeszło im wtedy nawet przez myśl, że tak mogą wy- glądać przyszli mordercy. Wkrótce po- tem zabrano całą masę zakładników, za- mykając ich w miejscowym więzieniu na wypadek próby jakiegokolwiek odwetu ze strony Polaków. Aresztowani zostali najbardziej znani i zasłużeni obywatele miasta Kościana i okolic. W najsmiel- szych wyobrażeniach nikt nie przewidział tak straszliwej zbrodni, jaką były później- sze rozstrzeliwania (...) Odtąd wszystko uległo zmianie. Każdy szczegół zmienia- no, podkreślając w ten sposób ucisk ze strony nieprzyjaciela:

Z wieży Ratusza zdjęto polskiego orła, a na wielu domach zawieszono niemieckie chorągwie ze swastyką. Pa- miętam, że zastanawiałem się, czemu starsi patrząc na czarną chorągiewkę z dwiema błyskawicami, z porozumie- wawczym uśmiechem mówili: „44”. Ks. Antoni Szwarz, który wtedy odprawiał Mszę św. w kościele [pod wezwaniem] Pana Jezusa, wytłumaczył nam jednak, że to - SS! Dalej nic nie rozumiałem... (Stefan Naskręt z Kościana).

Wspomnienie Jana Błazszyka spisane przez Lucynę Nyk również jest dowodem świadczącym o zasko- czeniu Polaków. Pan Błazszyk do- wiedział się o agresji Niemiec na Pol- skę, kiedy wracając pieszo z Czemp- inia, zauważył nadlatujące samo- loty.

Zwyczajnie - bez napadu, strza- łów, przyjechali na motocyklach. Samo- loty bez bombardowań pojawiły się na pogodnym, polskim niebie. Gdyby nie swastyka, czy karabin można by pomyśleć, iż przyjechali w odwiedziny albo przeprowadzają jakieś ćwiczenia podniebne (...) Z chwilą wkroczenia Niemców roz- począł się gorzki czas i dla społec- zeństwa, i dla gospodarki.

Po cichu jak tchórze wdarli się i zajęli Ziemię Kościańską. Nastal czas zagłady. Ludność ogarnęła trwoga. Pomocy szukali w modlitwie. W ten sposób postąpił Czesław Wenski, który udał się na poranną mszę świętą do kościoła, by służyć Bogu. Tam dowiedział się od księ- dza o wybuchu wojny. Kapłan pro- sił parafian o zachowanie spokoju i rozwagi, a dzieci i młodzież o posłu- szeństwo wobec rodziców. Po po- wrocie do domu, Czesław zastał zde- nerwowaną matkę, więc zabrał się za pomoc w obklejaniu okien i przeno- szenie żywności, koców oraz mate- racy do piwnicy, służącej wówczas za prowizoryczny schron. Obraz roz- modłonego ludu w kościańskiej Fa- rze zarejestrował Edmund Rajewski:

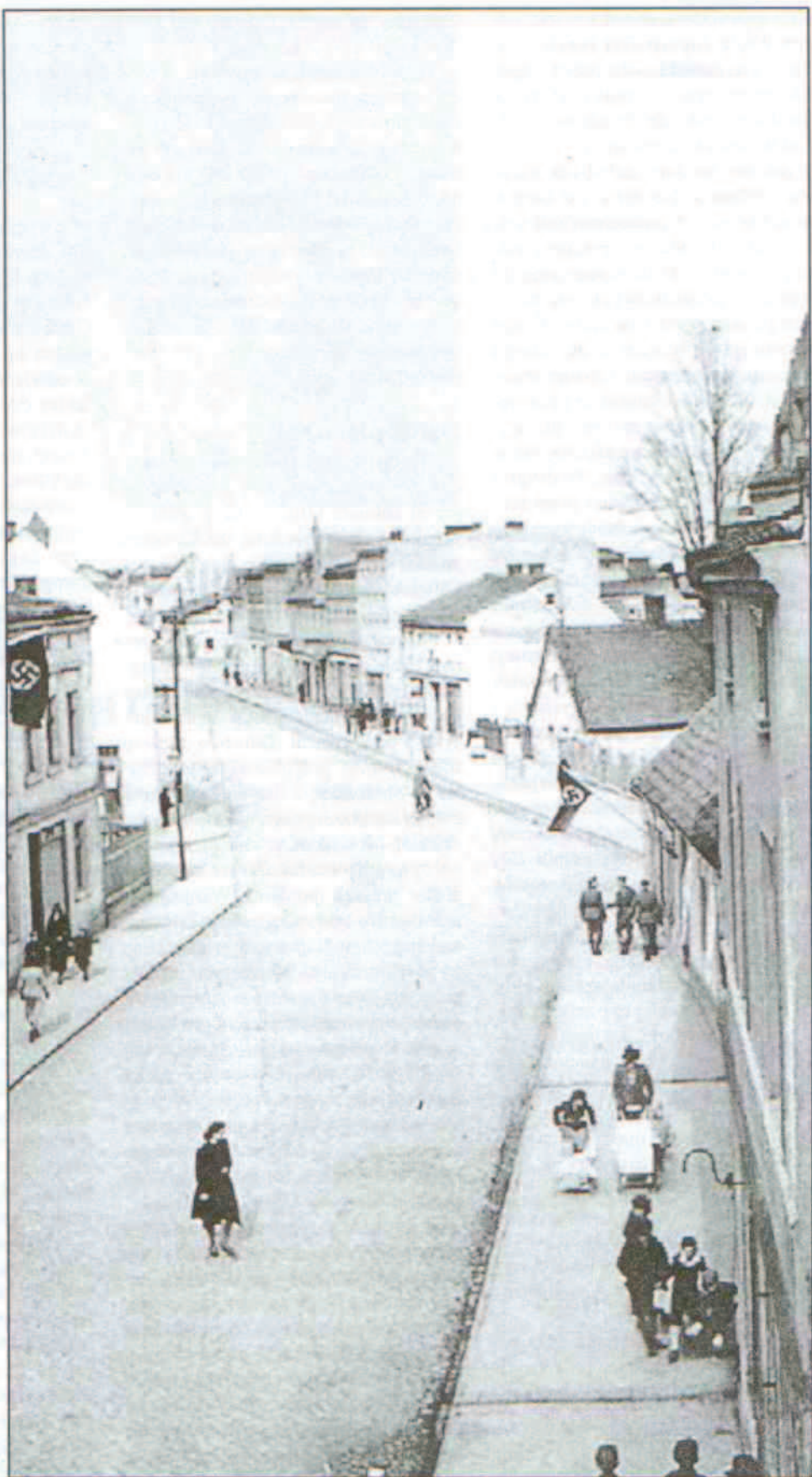
Z tysiąca piersi przed kadzidłem zadymione ołtarze, idzie śpiew korony: Święty Boże, Święty, a Nieśmier- telny... Widziałem głowy matek schylone przed Panem i usta poru- szone szeptem modlitwy... Boże Pa- nie nie daj wojny o pokój proszę Cię Panie... Ojczyzna nasz któryś... i szept ginął w rozmodlonym tłumie (...)

Nieskończenie wiele razy Bóg otaczał Polskę „blaskiem potęgi i chwały”. Jedyna nadzieja pokładana jest w Panu. Nadzieja na uniknię- cie wojny? Na wygraną? Na schro- nienie? Na przeżycie? Na powrót idylli sprzed kilku dni? O co w pierw- szej kolejności prosie Boga? Jedni prosili o śmierć... Inni o pokój, o to żeby nie czuć nienawiści. Ziar- no to zasiał sam Hitler. Jednak ludzie ludzili się do końca, cze- ➤

kając, co powie:
 wojna czy pokój?
 Na ulicach widać
 zamyślane twarze star-
 szych ludzi, którzy w
 oczach mają jeszcze
 obraz zeszłej wojny. I
 znów pojawia się
 strach o bliskich... Od
 początku września to
 samo odczuwał każdy
 Polak. Naturalnie,
 pierwsza myśl w obrę-
 bie zagrożenia i lęku to
 ucieczka (...) Takie za-
 chowanie wydawało
 się być jedynym rozsą-
 dnym, możliwym i
 skutecznym, by uchro-
 nić najbliższych od za-
 głady. (cdn)

**KATARZYNA
 SZYMKOWIAK**

* Katarzyna Szymkowiak urodziła i wychowała się w Kościanie. Rodzice, Regina i Krzysztof, od najmłodszych lat zapoznawali ją z genealogią rodziny. Uczęszczała do Szkoły Podstawowej i Gimnazjum Nr 4. Ukończyła I Liceum Ogólnokształcące im. Oskara Kolberga w Kościanie, gdzie podczas ustnej matury z języka polskiego po raz pierwszy wykorzystała pamiętnik prababci z okresu II wojny światowej. Na UAM w Poznaniu, ukończyła filologię polską (specjalność nauczycielską i dokumentalistyczną). Temat jej rozprawy magisterskiej: *Losy mieszkańców Ziemi Kościańskiej w czasie II wojny światowej na podstawie wspomnień*. Obecnie jest nauczycielem języka polskiego w Zespole Szkół Nr 3 z Oddziałami Integracyjnymi im. Feliksa Stamma w Kościanie. Publikujemy fragmenty jej pracy magisterskiej. Tytuł cyklu i śródtytuły pochodzą od redakcji. *ródła zostaną podane przy ostatnim odcinku cyklu.



Widok ulicy w Kościanie w początku okupacji. Fotografie wykonał nielegalnie Edmund Rajewski. Oryginał w zbiorach J. Zielonki

Poezja Eugeniusza Wachowiaka

Korowód dzwonny

A znasz korowód
w krag się kręcą dzwony
młot o spiz uderza
obrzeże iskrzy
a przekleństwa z bruku
co dzwon to serce
okruch zaden sobie
w dźwiękach i tęczy
z koronek sentencją
z imieniem świętym
tu na tej wyżynie

A znasz korowód
O przekleństwie mówię
bo zbeczeszczono w dzwonie ideały
ze już nie sięga
tam gdzie w łąkę sięgał
gdzie gładził niwy
i kołysał kłosy

Więc się układam
z tobą ręka w rękę
więc się przez bruk ten
toczę pustym gestem
więc przez ten bruk
po sznur dzwonu sięgam

Oni już idą
Boże bądź zuchwały
jeszcze raz w drogę
wytycz ku wieczery
a ja ci ogrom
gniewu twego ujmę
i w dzwon swój zadnę
aż do kołysania
wieży i ptaków
na odległych drzewach
i z uchodźcami
wrócę do Bengalu

A znasz korowód
kibitka za lasem
postaci łańcuch
dzwoni łańcuchami

Kto sieje spokój

Mnie nie kazano
siać ani też zbierać
Mnie nie kazano
mówić ani pisać
Mnie tylko w ogień
jak iskrę pod prochem
wrzucono abym
milcząco wybuchal

A ja co rano
pracuję w skupieniu
co wieczór mówię
lub na przemian piszę
o dniach minionych
zgiełku i pochodów
aby siać spokój
i odbierać ciszę

Pamiętki

Znalazłem złoty kwadrat
z liliową obwódka
i z liliową literą P
To spadek po moim ojcu

Znalazłem czarny prostokąt
z białą literką P
w czerwonym trójkacie
i z pięciocyfrową liczbą
To spadek po moim bracie

Te znaki pogardy
Nosili oni
Stąpając po twojej ziemi
Turyngio

Gdyś pod ciężarem...

Gdyś pod ciężarem krzyża padal
ze wzruszenia drzałem,
lecz Cię nie podniosłem

Gdy bok oprawca przebił Tobie
włócznią
ból w trzewiach czulem,
lecz stałem w milczeniu

Gdy zoldak pytał,
czy w Ciebie wierzę –
nie mu nie rzekłem

30.9.1985

Prośba o pojednanie

Trumnę mojego ojca Franciszka
złożono w grobie
należącym wcześniej
do kantora
lutherańskiego zboru
Franza Hammera,
którego czaszka
ujrzawszy raz jeszcze
dienne światło
po chwili uderzyła glucho
w wieko trumny ojca
i odtąd obu
połączyła ziemia

Panie,
Ty w swej wspaniałości
Połącz ich również
Laską Twoją

3.11.1985

EUGENIUSZ WACHOWIAK

* Wiersze pochodzą z tomiku „Medalion studzienny”, Poznań 1998, Wydawnictwo „W Drodze”

Jak bezpieka zniszczyła rektora

(1)

Witaj majowa jutrzeńko

Poznań nie był pierwszy. Najpierw zbuntowali się studenci krakowscy. Poszło o sposób obchodzenia Święta Konstytucji 3 Maja. Ideologiczna walka z symbolami II Rzeczypospolitej wzmagala się i przybierała chorobliwe, karykaturalne wręcz rozmiary. W początku kwietnia 1946 roku kierownictwo Polskiej Partii Robotniczej uznało, że należy ograniczyć świętowanie 3 Maja do zabaw, odczytów, występów teatryków i uroczystości w kościołach. Żadnych procesji, żadnych manifestacji i żadnych pochodów. Słowem – zmarginalizować i usunąć w cień Dzień Konstytucji, a na pierwszy plan wysunąć 1 Maja – Międzynarodowe Święto Klasy Robotniczej. Władza ludowa nie miała jeszcze wtedy takiej odwagi, by ogłosić to swemu ludowi publicznie. Skierowano więc ustne dyrektywy do województw, powiatów i gmin.



*A me... AD... chire et excellenti petite...
1913. Bureau de... e...
Stanisław Dąbrowski w 1903 roku*

Stanisław Dąbrowski w 1903 roku

Krakowska manifestacja

Nie wchodźmy w szczegóły. 3 maja 1946 roku po Mszy św. w kościele Mariackim, studenci krakowscy (i nie tylko studenci) wylegli tłumnie na ulice miasta, manifestowali pod hasłami wolnościowymi, wznosili okrzyki przeciwko Bolesławowi Bierutowi, Urzędowi Bezpieczeństwa i wojskom sowieckim. Tak doszli do Plant okalających Stare Miasto, gdzie zostali ostrzelani z karabinów maszynowych. Byli zabici, ranni – nie znamy ich nazwisk. Rozpoczęły się masowe aresztowania. Mówi się o uwięzieniu kilku tysięcy osób. Wieść o tym, że w Krakowie prześladowane studentów – mimo całkowitego embarga cenzury – pocztą pantoflową rozniosła się po kraju i wzniciła solidarnościowy odruch protestu w innych ośrodkach akademickich, a także w szkołach średnich. Poznań murem stanął za Krakowem.

Mam przed sobą sprawozdania dekadowe Sekcji IV Wydziału V Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu za czas od 21 maja do 11 lipca 1946 roku. Wydział V według ówczesnej struktury bezpieki zajmował się sprawami społeczno – politycznymi m.in. „ochroną partii politycznych przed atakami reakcji”, „penetracją instytucji oświatowych, kulturalnych i wolnych zawodów”, „prześwietlaniem administracji państwowej”, „inwigilowaniem duchowieństwa”. Sekcja IV w tym wydziale „opiekowała się” młodzieżą. Sprawozdania, o których tu mowa, podpisywali: zastępca naczelnika Wydziału V por. UB Henryk Sokolak i kierownik Sekcji IV ppor. Czesław Binder.

Agentura sekcji IV, a więc siatka zwerbowanych informatorów w środowisku młodzieżowym w skali całego wojewódz-

stwa poznańskiego, nie była wtedy rozległa. Liczyła 54 osoby, w tym 18 – na wyższych uczelniach, 16 – w szkołach średnich, 16 – w Związku Harcerstwa Polskiego i 4 – w klubach sportowych. Po manifestacjach krakowskich studenci poznańscy zostali obstawieni dodatkowo przez swoich kolegów z porządowych organizacji młodzieżowych, więc do bezpieki wiadomości płynęły szerokim strumieniem.

W sobotę 11 maja 1946 roku na Uniwersytecie Poznańskim i w Akademii Handlowej ukazały się ulotki, nawołujące do strajku w obronie aresztowanych studentów krakowskich. W niedzielę, 12 maja, na każdym pięttrze gmachu Akademii Handlowej wisiały nowe ulotki, apelujące o przyłączenie się do ogólnopolskiego strajku akademickiego. W poniedziałek, 13 maja odwołano zajęcia w Akademii Handlowej, a wokół gmachów obu uczelni zaczęli gromadzić się ludzie. Nastąpił poniedziałek.

Poznańska solidarność

Ze sprawozdania dekadowego poznańskiej bezpieki z 21 V 1946 roku:

„(...) O godz. 14.45 przed aulą Uniwersytetu Poznańskiego wyruszył pochód w kierunku Śródmieścia, z początku nieliczny, i krążąc po mieście udał się na Plac Kolegiacki przed Urząd Wojewódzki. Demonstranci nawoływali po drodze i wciągali gwałtem idących w czapkach studentów, aby się przyłączyli. Na jednej z ulic student S(...) skoczył do składu papieru i zrobił transparent z napisem „Żądamy wypuszczenia aresztowanych kolegów w Krakowie”, lecz po przejściu kilkuset metrów transparent porzucił. Przez całą drogę demonstranci wznosili okrzyki „Uwolnić aresztowanych kolegów w Krakowie”. Przed Urzędem Wojewódzkim pochód liczył przeszło 1000 młodzieży. Żądano ukazania się wojewody, aby interweniować w sprawie zajść krakowskich. Na wyżej wspomnianym Placu wznoszono również okrzyki: „Żądamy wypuszczenia kolegów aresztowanych w Krakowie”, „Niech żyje Wojsko Polskie”, „Niech żyje Milicja”, „Nie zagrażamy Bezpieczeństwu”. Odśpiewano także hymn narodowy, Rotę, Warszawiankę, „Boże coś Polskę” z dodatkiem „Ojczyznę wolną, racz nam wrócić panie”. Z chwilą przyjazdu rektora Dąbrowskiego śpiewano „Gaudeamus igitur”.

Ulice wokół Placu Kolegiackiego zamknęły oddziały Milicji Obywatelskiej,

Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Wojewódzkiej Szkoły Bezpieczeństwa Publicznego. Młodzież krzyczała nadal. W tłumie pojawiły się białe – czerwone sztandary. W sprawozdaniu bezpieki napisano:

„(...) Manifestujących studentów otoczyły oddziały porządkowe i Milicja Konna i rozdzieliła ich na dwie grupy. Z grup wybrano najbardziej prowokacyjnie zachowujących i załadowano na [jeden – dop. J.Z.] samochód. Pozostałych studentów również załadowano na samochody i przetransportowano w liczbie 303 do WUBP i 330 do Milicji. Po przesłuchaniu oraz spisaniu protokołu część została tego dnia zwolniona do domu i część następnego. W areszcie naszym znajduje się obecnie 54 studentów(...)”.

Do późnych godzin wieczornych trwały goniwcy po mieście. Studenci małymi grupkami próbowali jeszcze dyskutować, w końcu nastąpił spokój. Rektor UP prof. Dąbrowski ogłosił, że następnego dnia spotka się z wszystkimi studentami. Uprzedzając bieg wydarzeń warto odnotować, że był to człowiek wielkiej szlachetności – poza wszystkimi podejrzeniami i jeśli dzisiaj „jest coś nie tak”, to jedynie to, że nie w pełni potrafimy docenić Jego zasług dla Ojczyzny.

W auli uniwersyteckiej

14 maja w samo południe w auli Uniwersytetu Poznańskiego odbyło się spotkanie studentów z wojewodą poznańskim dr. Feliksem Widy – Wirskim i rektorem Stanisławem Dąbrowskim. Według bezpieki miało mieć charakter ideologiczny, okazało się jednak, że przebiegało w zupełnie innym kierunku. Rozgoryczeni tym funkcjonariusze Wydziału V pisali:

„W przeszło jedno-godzinnej mowie rektor Dąbrowski scharakteryzował bardzo tendencyjnie przebieg całej demonstracji i powiedział, że młodzież jest narażona na wielkie niebezpieczeństwo i na bezprawie. Jemu grozi również niebezpieczeństwo, lecz liczy na młodzież, że ta nie pozwoli go skrzywdzić. Celem zgromadzenia jest ustalenie z władzami, aby wypuszczono niewinnie aresztowanych studentów w Poznaniu. Przemówienie było przez studentów bez przerwy oklaskiwane i okrzykiwane. Następnie przemawiał wojewoda dr Widy-Wirski, który przemawiał tak, jak sobie tego życzyła, rozentuzjasmowa-

na przemówieniem rektora, sala. Mówił, że aresztowanie to było niewłaściwe i niepotrzebne; że trzeba było przyjść wcześniej do niego. Postara się, aby wszystkich aresztowanych studentów uwolniono. Gdyby się to jemu nie udało na miejscu, będzie interweniował u władz najwyższych. Całe zgromadzenie skończyło się o godz. 15.00. Po tym liczne grupy studentów udały się przed gmach Bratniej Pomocy, gdzie znowu wznoszono okrzyki przeciw rozpędzającej Milicji Konnej. Po godzinie wszyscy rozeszli się. Większych zaburzeń w tym dniu nie zauważono. W godzinach wieczornych na ulicach panował spokój (...) W związku z demonstracją akademicką uczniowie Gimnazjum Bergera klasa IV porzucili naukę i poszli przed aulę UP, aby wziąć udział w demonstracji. Pójście na wiec propagowali uczniowie: GRZEGORZEWSKI Zenon i KLIMECKI Leon. Dyrektor za karę zawiesił naukę na dwa dni aż do uchwalenia kary. Konferencja profesorów uchwaliła obniżyć uczniom stopnie z zachowania. W innych gimnazjach demonstracja studentów nie wywołała większego oddźwięku (...) Harcerstwo zasadniczo nie brało udziału w demonstracji. Kilku harcerzy zostało jednak przytrzyma- nych razem ze studentami(...)”.

Feralne fotografie

Historycy z Instytutu Pamięci Narodowej odnaleźli, opisali i pokazali kilka zdjęć z 13 maja 1946 roku w Poznaniu. Nie mogą się nigdzie doczytać, czy są to fotografie zrobione przez ubowców czy też przez kogoś innego. Intuicja podpowiada mi, że zdjęcia te pochodzą z aparatu fotoamatora. Bowiem w onże wtorek – 13 maja – bezpieka zatrzymała ucznia KUBANKA, który z balkonu domu przy ul. Armii Czerwonej nr 3 robił fotografie manifestacji.

Ze sprawozdania bezpieki:

„Po wywołaniu negatywu, mamy w naszym posiadaniu kilka bardzo cennych zdjęć. Ucznia wraz z aparatem przekazano Sekcji Śledczej. Ponieważ w pochodzie niesiono transparent z napisem „Żądamy uwolnienia kolegów aresztowa-

nych w Krakowie", rozpoznano studenta, który takowy wykonał i niósł w czasie demonstracji. Okazał się nim student I roku Wydziału Ekonomicznego, syn chłopca, Tadeusz S(...), którego aresztowano i po zawierbowaniu wypuszczono. Na podstawie doniesień agentury jednym z głównych prowokatorów i organizatorów demonstracji jest student Wydziału Rolniczo – Leśnego sekcji rolniczej, starsza trymestru Jan DIERING – PODHORSKI, który się obecnie ukrywa. Wyżej wspomniany jest urodzony 21 VI 1921r. w Budzynie pow. Chodzież, ma stopień plutonowy podchorąży, miał brać udział w powstaniu warszawskim jako żołnierz AK, co na razie nie jest dokładnie stwierdzone. Służbę w wojsku miał odbywać w 72 pułku piechoty w Warszawie(...)"

Koniec rektora

21 maja 1946 roku na podstawie informacji agenturalnej z obrad senatu UP poznańska bezpieka informowała Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie:

„Rektorem UP jest nowo obrany przez senat akademicki prof. Stefan Błachowski, doktor filozofii, profesor psychologii i pedagogiki eksperymentalnej, dyrektor Zakładu Psychologicznego, delegat do Senatu w roku 1926/27, dziekan w latach 1934/5; 1935/6 i 1936/7; prorektor w latach 1938/9 i 1945, obecnie rektor. Zapatrywań sanacyjnych – umiarkowany, zamieszkały w domu profesorskim ul. Libelta 14 (...)"

JERZY ZIELONKA



J. Bahrynowicz

LWÓW

JAGIELLOŃSKA 24

W stroju Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”.

Fot. (2x) w zbiorach córki red. Jadwigi Dąbrowskiej z Paryża

Kowboje, Apasze, Mormoni (I)

Pisarz Adam Tomaszewski, Honorowy Obywatel Miasta Kościana, patron naszej biblioteki publicznej, przemierzał Stany Zjednoczone Ameryki. Owocem jego podróży są reportaże o historii USA w XIX i XX wieku opublikowane w książce „Kowboje, Apasze, Mormoni”. Oto wybrane fragmenty.

Na szlakach kolonistów i piratów

Przed nami leżą puste plaże wysp Płn. Karoliny. Jest wrzesień, koniec wakacji, koniec lata. Ogorzali, pełni wigoru letnicy pognali do swych Marylandów, Tennessee, Nowych Jorków. Przed nami trzy tygodnie samotności, spacerów, kąpiele w oceanie, kontaktów z życiem wyspiarzy. Ludzi wyrosłych w niezwykłych okolicznościach, u styku niebezpieczeństwa i przygody.

W odległości 30 mil od stałego łądu Północnej Karoliny, odwieczna praca fal, wichrów, oceanicznych prądów, wyłoniła z dna morskiego łańcuch wysp, które legły twardą zaporą na drodze sztormów i huraganów. Znane w geografii pod nazwą „Outer Banks”, wyspy te tworzą Pierwszy Nadmorski Park Narodowy i stanowią jeden z najciekawszych rejonów turystycznych Południa.

Na Przylądku Hatteras dojrzewają pomarańcze, figi i cytryny, domki rybackie chowają się w gąszczach kwitnących krzewów, zimują miliony wędrownego ptactwa. Przyczyną niemal tropikalnego klimatu jest ciepły prąd morski Gulf Stream, płynący tędy od południa, od Zatoki Meksykańskiej.

Ludzie przywykli do luksusowych restauracji i hoteli, klubów i kasyn, pływalni, dansingów i rewii, lepiej niech tu nie przyjeżdżają. Tego tu nie ma. Nie ma też policjanta, światel ulicznych, windy, towarzystwa ubezpieczeń, kręgielni i bilardu, sklepu departamentowego, szpitala, klubu golfa, adwokata, stałego doktora (dojeżdża często awionetką), sklepu z meblami, kwiaciarni, drukarni, piekarni, knajpy, więzienia, szkoły tańców, księgarni, dentysty, „pogrzebowego dyrektora”.

Fryzjer natomiast jest. Ale tylko... teoretycznie. To znaczy klient podchodzi pod dom „mistrza” i wywołuje go na pogaduszki. Maestro jak

każdy artysta nieco kapryśny, ogoli albo i nie. Zależy od fantazji, samopoczucia, rozmaicie. Odpalonym „kustomerom” pozostaje jeszcze sobota. W soboty humorzasty golibroda zarabia uczciwie na chleb. Już bez fanaberii.

Ludzie miejscowi to fascynująca opowieść. Kiedy purytańskie osiedla pokryły brzegi Nowej Anglii, kiedy zaludniały się z wolna dzisiejsze stany Nowy Jork, Nowe Jersey, Delaware, odpryski osadniczej masy dryfowały na południe, w niezasiedlone jeszcze puszcze, gdzie czekała ziemia do wzięcia, „wola”, kraj pełen ryb i zwierzyny. Wędrowali malkontenci niezadowoleni ze stosunków w kolonii, niewypłacalni dłużnicy, zbiegła od obowiązków służba, rozmaite niespokojne duchy, szukające gwałtownie zmiany klimatu i otoczenia.

Sporo z tych przybyszów doszło wnet do przekonania że okolice te nie nadają się do zamieszkania. Ale nie brakło i entuzjastów. Ci znowu utrzymywali że brzegi Karolin to idealny kraj dla kobiety... poszukującej męża. „Była tylko była samotna i nie przekraczała 50 lat życia.”

Szwajcarzy, Walijszczy, Irlandczycy, szkoccy górąle osiedlali się kiedyś w tych stronach i w zylach dzisiejszych mieszkańców płyną strużki wieloplemiennej krwi. Największe jednak wpływy pozostawili ludzie morza. To oni zmieszali się z napływową ludnością, nauczyli ją jak z morzem obcować, jak z morza żyć. Rozbitki, „kapitanowie morsey”, piraci, rybacy.

Wyspiarze (najlepiej charakteryzowałoby ich angielskie słowo „rough”, szorstki) są twardzi, nieustępliwi, równocześnie ujmujący w obejściu, wcale nie chciwi. Nie spotyka się wśród nich chęci szybkiego z bogactwem, głodu pieniądza. Pod tym względem jest to jakaś oaza, odłam dawno odeszłego już świata, anachronizm w zalewie groszorbstwa jakie obserwuje się wszędzie na kontynencie amerykańskim.

Człowiek tutejszy zna się na każdym rzemiośle, potrafi zrobić i naprawić niemal wszystko, celuje jednak w ciesielce i budowie statków. Z sąsiadami wiąże go przyjaźń, współpraca, dobre stosunki. Szczęry patriota, Amerykanin w najlepszym pojęciu tego słowa; odznacza się też silnym poczuciem godności osobistej, przekonaniem że jest absolutnie równy. Każdemu.

Nie zawsze było tu tak idealnie. Wędrując po wyspie Hatteras, po malowniczych wioskach Avon, Buxton, Frisco, ogląda się wiele przedmiotów które niewątpliwie pochodzą z zatopionych okrętów. Olbrzymie kotwice, w ścianach domków belki z wyrzuconych na plażę wraków, domostwo-unikat – zamiast bocznej ściany wbudowano cały przód szkutnika, służący obecnie gospodarzom jako kuchnia. We wnętrzach mieszkań okrętowe kompas, srebro i porcelana, meble z kajut, tysiące użytkowych przedmiotów, nie licząc zapewne precjozów których nie pokazuje się ledwie co poznanemu turyście.

Może to od piratów nabyte dobro? Może ludzie z Hatteras, Ocracoke, Oregon Inlet „pomagali” rozbijać się okrętom? Wystarczało w czasie burzy rozmieszczać odpowiednio światła na brzegu by sternicy miotanych falami statków sami prowadzili je ku skałom czy nadbrzeżnym ławicom. Może tak bywało, może nie. Nie nadużywajmy praw gościa, to intymne, rodzinne sprawy.

W wiejskim sklepiku zaznajamiamy się z rozmowną starszą panią. Po kwadransie starsza pani zaprasza do obejrzenia jej „zbiorów”. Zgadząmy się skwapliwie w nadziei zobaczenia czegoś niezwykłego. I rzeczywiście.

Przed zasobnym cottagem, w garażu, w ogródku, na werandzie, setki figur i figurynek, jedne wielkości człowieka, inne zaledwie na kilka centymetrów, wszystkie wyrobione z „driftwoodu”, wszystkie pomalowane jaskrawymi farbami. Ni to świątki z naszych wiejskich kapliczek, ni to niezdarne wy-

➤ krojone wyobrażenia królów, wojowników, pasterzy. Z dumą, satysfakcją widoczną z każdego słowa starsza pani rozpoczyna „wprowadzanie do tematu”. Pracuje nad tymi figurami od czasów kiedy była młodą dziewczyną. Spoglądamy po sobie, nasza gospodyni liczy sobie dobrze ponad siedemdziesiątkę, ponad pięćdziesiąt lat zabrało jej wyrzeźbienie całej Biblii Od Adama i Ewy.

Zrazu z osłupieniem, później z coraz większym znudzeniem, zaznajamiamy się ze sceną po scenie Abel i Kain, Noe i menażeria. Sem, Cham i Jafet, protoplaści pokoleń ziemi, Wieża Babel. Abram-Abraham, żona Sara, wędrownica do kraju Kanaan. Egipcjanka Hagar i syn jej Izmael, Sodoma i Gomora. Żona Lota zamieniona w słup soli. Izaak na ołtarzu ofiarnym. Żona Izaaka Rebeka, wnuczka Nachora. Przedsiębiorcze bliźniaki. Ezaw w szatach „zalatujących polem i kozami”, Jakub ten od soczewicy i pierworódtwa, ten co we śnie widział drabinę pełną aniołów, ten któremu żony Lea i Rachela i nałożnice Bilha i Zilpa nasypały aż dziw jak zgodnie, pół kopy synów. Naprzeciwko dzieje Józefa: źli bracia sprzedają go kupcom. Putyfar i jego żona. Więzienie. Siedem krów tłustych i siedem chudych. Niedawny niewolnik wielkorządcą Egiptu. Izrael przenosi się do ziemi faraonów.

W garażu - czasy Mojżesza. Aż ćmi się w oczach od jaskrawości krzaków gorejących, plag egipskich, rozmów z Jahwe, Ark Przymierzy, kamiennych tablic, złotych cielców, niekończących się wędrowek po pustyni.

W ogródku ciąg dalszy. Epoka walki i heroizmu. Jozue. Trąby pod murami Jerycha. Warownia Haj. Podstęp Gibeonitów. Boje z królikami północy. Jozue zarządza zdobytą krainą Kanaan. Debora – „matka Izraela”. Nowy dopust – Filistyni. Samson. Rut. Heli. Samuel. Niegodni kapłani Hofni i Pinchas. Seul. Jonathan. Przewagi i zbrodnie Dawida. Batszeba żona Uriasza. Amnon. Tamar. Absalon. Joab. Złoty wiek. Świętynia. Obce bogi. Gdzież koniec tego wszystkiego? Dobrneliśmy przecie dopiero do wizyty królowej arabskiej

Szeby odwiedzającej Salomona w jego stolicy i obdarzającej go stu dwudziestu talentami w złocie. Napierają ze wszystkich stron orszaki brodatych proroków, arcykapłanów, patriarchów. Tłumy pięknych biblijnych grzesznic, odalisek, hurys, miłośnic haremów Dawida i Salomona, całe roje Egipcjanek, Moabitek, Ammonitek, Edomitek, Fenicjanek, Hetytek, Filistynek, smagłych, czarnookich cór pustyni, kłaniających się Baalowi, Astarte, Molochowi.

Szeroki, wielkopański gest: zaproszenie do mieszkania. Nie odmówicie chyba państwo? Wchodzimy ociągając się i przecież to nie do wiary... Przedśionek, schody, jadalnia, sypialnia, zastawione nowym tłumem figur; kolorowe maskary zajmują nawet łóżko, kominek, okna. A każda niezwykle ważna, każda wyzwala wartki potok dydaktyzmu.

Wycofujemy się co prędzej. Czujemy się po trosze jak ten woźny Protazy co to „nagle skoczył przez płot i wpadł do konopi”. Co to było? Wariatka? Zagorzała pra-pra-wnuczka purytanów? Prawdopodobnie i jedno i drugie.

Na białej plaży spoczywa ciężka belka. Wyrzuciło ją ze swych głębi rozchybotane ciagle morze. Dębina zczerniała ze starości ale jeszcze jędrna, sposta, błyszcząca wypolerowanymi słojami. Przysały się do drewna, oblepiły je zwartą masą całe kolonie muszelek, opalowych, szarych, różowych. Leży przed nami szczątek rozbitego okrętu, może kawałek rei, może odprysk burty, resztki wraka, który spoczywa – Bóg wie jak długo – w głębokościach morskich.

Stoimy na Przyładku Hatteras. Gdzie oko spocznie kipiel, fontanny bryzgów, furia rozpedzonych gór wodnych, wściekłych, parsających pianami, walących się na siebie w nigdy nie kończących się karambolach.

Od południa, zlobiąc w oceanie ciemnoniebieski pas podpływa ciepły, tropikalny prąd – Gulf Stream, Golfstrom. Naprzeciw podąża chłodny Atlantyk wysuwając jak macki zimne strumienie Labradorskich Prądów. W okolicy latarni morskiej w Cape Hatteras spotykają się obie masy wodne, zwierają się w zaciekłej, nierozstrzygniętej walce, napiętrzają fale dochodzące niekiedy

do pięćdziesięciu stóp, wyrzucają na brzeg masy piasku, muszli, żyłtek wydartych z dna oceanu.

Amerykański Nienasytec. Podobnie jak dniewprowy tajemniczy, romantyczny i straszny. Tutejszy Nienasytec nazywa się Diamond Shoals. Praca fal wyniosła z dna morskiego długie na wiele mil ławice, niestałe, wędrujące, nieobliczalne. Jak szczęki potwora sięgają wprost ku oceanicznemu głębiom skąd nadpływają okręty. Potwór zawsze podstępny, zawsze czekający swej szansy, burzy, huraganu, usadowił się wzdłuż znacznej połaci wybrzeży Północnej Karoliny. Po Bodie Island, Nags Head, Carrituck – na północ. Po przyładki Cape Lookout i Cape Fear – na południe.

Tutaj właśnie znajduje się znane marynarzom całego świata cmentarzysko Atlantyku – Graveyard of Atlantic.

Zagrzebane w piaskach, zamulone, okryte festonami wodorostów, spoczywają szczątki niezliczonych szkunerów, brygantyn, barek, „słopów”, fregat, frachtowców, tankowców, parowców. W okresie czterystu lat poszło tu na dno około dwu tysięcy statków. Leżą gdzieś w zielonym półmroku oblepione gąbkami i małżami, legendarne galeony hiszpańskiej armady Lucasa Vasquez de Ayllon. Padła ofiarą sztormu w roku 1526. Żółto-zielone kraby pełzają w szkieletach zatopionych fregat sir Richarda Grenville'a. Cień rekina przemyka się jak widmo między szczątkami zatopionych w czasie Wojny Domowej statków konfederackich i unijnych.

Spoczął na zawsze w tych wodach „steam packet, Pułaski”, który w roku 1838 wyruszył z Savannah do Bostonu wioząc na swym pokładzie bogatych plantatorów i ich żony i córki. Nieoczekiwana wichura u Przyładku Hatteras przypieczętowała los statku i ludzi. Biedne „belles” Południa. Zamiast bostońskiego karnawału znalazły zimny grób w Diamond Shoals... Podobny los spotkał liczne statki hiszpańskie, portugalskie, angielskie, francuskie, panamskie, amerykańskie. Bajkowe karga ze złotem. Ładunki towarów z całego świata.

ADAM TOMASZEWSKI